czas. 2552/27/1-24 BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

KAMENA

DWUTYGODNIK LITERACKI

LUBLIN

15.I.1960

Nr 1 (191)

ROK XXVII

CENA 2 ZŁ

W NUMERZE: Tępi[illegible]y chwasty językowe ● Między dawnymi i nowymi laty ● Śpiewak Laury ● W horyzo[illegible]cie nostalgii ● Nasz ekran ● Ucieczka z marginesu życia ● I in.

MATERIAŁY POETYCKIE NA KONKURS RECYTATORSKI

Opowieść o papierowej koronie

JÓZEF CZECHOWICZ

PROLOG

Zmienna jest w duszy ludzkiej fala unicestwień i stworzeń, a kolorowe miesiące wiosenne mijają w korowodzie słonecznych dni.

Lipiec — środek Lata.

Świt wstaje z mgieł i rośnie szara półjaśń w cichej komnacie. Nocna dysputa trwa dalej. Henryk, stojący przy oknie, mówi patrząc na rozkwitłe grzędy maków, mówi, jakby do świtu wstającego, miast do ludzi, którzy go słuchają.

...Powiadacie, że jest los. Wierzycie w to straszydło całą wiarą dusz głęboko przekonanych. Lecz ja nie umiem wierzyć w to. [illegible] wówczas podobny do ludzi, dla których najwyższym tragizmem jest tragedia winy i kary. — Przybyszewski wierzył w ślepy los, bo wierzył w konsekwencje winy. Powiadał, że kara jest, lecz winy nie ma. Wierzył jednak, że i wina jest, tylko ją niewinniał i na niewspółmierność tych momentów skarżył się boleśnie. —

Jeśli nawet uderza nas ta arytmiczna, nieharmonijna twórczość mimowolna, to wyolbrzymienie kary, to i tak musimy to złożyć na swe barki, a nie na barki losu. Tworzymy sami winę i karę. I nieubłagalność tego następstwa leży w nas samych.

Tu poruszył się niespokojnie ksiądz Clarus, tonący w stosie miękkich dywanów i futer, rzuconych w kącie.

— Mistrzu, — rzekł — kocham twą duszę do szaleństwa, ale nie kocham twoich słów. One są [illegible] niż ty. Czy ty nie czujesz wieczorem, gdy wschodzi księżyc nad pagórki, że jest On? Konieczność w nas sama, powiadasz; czemu ona nie przychodzi z zewnątrz? Od Niego?

Widać było, że Henryk uśmiechnął się lekko. Trzej jego przyjaciele patrzyli w niego, milcząc. Całą noc rozmawiali ze sobą, a on patrzył na gwiazdy, a teraz, gdy gwiazdy zbladły, mówił sam. —

— Jakże możesz mówić o czymś z zewnątrz, kiedy u nas nic z zewnątrz nie duchoć. Każda dusza jest samotna i odcięta od reszty świata. Każda dusza ma tylko siebie i w sobie żyje. Jeśli jest błoto — błotem jest jej życie. A czasem [illegible]st jaśnią, a czasem dalą słoneczną, a czasem tytaniczną grozą. Bywają i dusze, które szarpią na przemian szał dionizyjski i spokojne piękno apollińskie. Każdy jest sam, jak nurek na dnie morskim. A ty mówisz o wpływach z zewnątrz. Głusiśmy i ślepi...

Kiedy umilkł, strasznie i niespokojnie stało się w trzech duszach.

Ksiądz Clarus patrzał w myśli: Każdy jest samotny.

Postumus Porco, który zawsze sceptycznie traktował Henryka, zamyślił się głęboko. Podnarszczonym czołem czuć było pracę ciężkiej, znienacka logicznej myśli. Ważyły się tam możliwości psychiczne, jak matematyczne, dokładne wzory. Krytykował.

Za to obok, w [illegible] wielkich oczach Zygmunta [illegible]kał się smętek, dający świadectwo prawdzie. Ten istotnie był zawsze sam, z melancholijnym pięknem swego życia. Dziecię pól na bruku miasta.

Znowu głos Henryka przyciszony, gubiący się w makowej woni, która płynie z ogrodu wraz z wilgocią poranną.

— Słońce?

Jeszcze go nie ma. Tylko blask, tylko przedświt, złocący się na jasnym niebie.

...Przedziwne piękno jest w śnie niedbałym pod jabłonkami pełnymi owoców. Błogosławiony jest bezwład i bezczynność, za którymi nie wlecze się tren następstwa. Czyż nie tak, czyż nie tak, drodzy?

Lecz może być takiego spokoju czcicielem ten, w którym burzliwy wir się kłębi o każdej godzinie dnia? Obłąkańcze kroki moje dążą do ciszy, wiem to na pewno, ale dążą przez krainy, pośrodku których znika cel wędrówki. Teraz idę przez kraj grzesznej miłości.

Grzech powinien być wielki, jeśli się gra w duszy bolesnej. Powinien być widowiskiem z chórami, jak tragedia grecka. A mój jest jakiś dziwny, nie mierzący się miarą potęgi, jest tylko rozkoszny i straszny.

[illegible] — rozkosz, a poczucie grzechu — to już kara. Nie, nie! czyste duszyczki młodzieńcze. Ty, Clarusie, co dzień mówisz o grzechu urbi et orbi, lecz nie znasz jego istoty. Anity, Zygmuncie. Zaś Postumus zna sprośność, ale grzechu i rozkoszy nie zna.

Wspomniany porwał się z miejsca i mówił urywanym głosem:

...Ja czysty, czysty! Wierz mi, Sztuka i Myśl były zawsze ze mną. To, o czym myślisz, to etap na drodze Poszukiwania Życia... Nie ma winy!...

Henryk patrzył nań oczyma przymglonymi nurtującą go myślą:

— Kłamiesz...

Tyś jest tym, który ważył się na czyny podłe. Tyś oderwał Marysię Daleka od Króla, by ją sobie rzucić pod nogi, a ona została sama z tęsknotą w sercu dziewczęcym. Tyś żądze wprowadził między nas czterech. Tyś głosił światu i rzucał na pośmiewisko miłość Achillesa i Patrokla... Intrygancie!

Postumus skurczył się u boku Henryka i po chwili namysłu, patrząc na drgające gniewem Henrykowe usta, cedził przez zęby.

...Nie sądź innych, aktorze tra-giczny...

I wyszedł.

A Henryk zwrócił się do księdza.

—Mówiliśmy o winie i karze. Zobaczycie wkrótce pokutę. On wróci. Bo serce jest w nim, tylko dusza spróchniała...

WIECZÓR ZE SOBĄ

1

Cicho skrzypnęły drzwi.

Pokój Henryka. Na ścianach w półmroku ciemnymi plamami zawisły obrazy i portrety. Madonna kwiatów. Twarz ojca. Dzieweczka jakaś z nasturcją we włosach. Pod Melancholią Dürera — portret Henryka. Patrzy uparcie w sztylet. Myśli o śmierci. A kiedy skrzypnęły drzwi, zachwiał się płomyk przytłumionej lampy i z kąta błysły oczy Henryka.

...To ty?

...Ja.

Stanął z boku lampy, tak, że widać jak długie i gęste ma rzęsy. Blade czoło bieleje w półmroku, oczy lśnią. Miłość przynosi i siebie całego w darze...

(Ciąg dalszy na str. 2)

DIALOGI O WIELKIEJ I MAŁEJ KULTURZE

Noworoczna ankieta „Kameny"

Powiedzmy szczerze: noworoczna ankieta „Kameny" wprawiła wszystkich ankietowanych w stan lekkiej, mniej lub bardziej maskowanej panjki. Z propozycją interwiewu zwracałem się do wielu. Wytrwali do końca najbardziej zdeterminowani. Ankieta obejmowała w zasadzie cztery pytania:

1. Które z wydarzeń, zjawisk czy tendencji dominujących uważa Pan(i) za najważniejsze, najbardziej istotne, ewentualnie najbardziej charakterystyczne dla kultury polskiej w roku 1959?

2. To samo pytanie dotyczące Lubelszczyzny.

3. Jak ocenia Pan(i) rok ubiegły, jeżeli chodzi o dziedzinę Pana(i) zainteresowań lub dziedzinę pracy zawodowej?

4. Jakie widzi Pan(i) perspektywy rozwoju życia kulturalnego w roku bieżącym (tzn. 1960)?

Z pytaniami tymi zwróciłem się do ludzi młodych związanych w taki czy inny sposób zainteresowaniami lub zawodem z problematyką kulturalną naszego miasta i województwa. Pierwsze pytanie nastręczało wszystkim najwięcej trudności, było niewątpliwie najbardziej kłopotliwe i „myślochłonne". Natężenie mąk, stopień cierpienia oraz paniczny intelektualny popłoch ankietowanych potęgowała w sposób kosmiczny okoliczność, że wszystkie wywiady przeprowadzałem kilka godzin przed sylwestrem. Wszyscy moi rozmówcy jednak to ludzie mężni i opanowani. Niektórzy uśmiechali się nawet przy końcu rozmowy. Cierpko nieco, lecz wytrzymałość ludzka ma przecież swoje granice... Dziękuję. Przepraszam. Zaczynamy:

MGR JERZY LUDWIŃSKI, KRYTYK I HISTORYK SZTUKI: Najbardziej pozytywnym zjawiskiem jest niewątpliwie odnowienie lub nawiązanie masowych kontaktów artystycznych z zagranicą we wszystkich dziedzinach sztuki. Zjawisko to obserwujemy zarówno w literaturze (ostatnie tłumaczenia), jak w muzyce (III Warszawska Jesień, Warszawa zaczyna odgrywać w tym wypadku jedyną chyba w Europie, niepowtarzalną rolę alchemicznego tygla, w którym spotykają się niespodziewanie najbardziej różnorodne ingrediencje i pierwiastki stylowe), w kinematografii (rekordowa ilość premier filmów produkcji nie polskiej) oraz w plastyce. Konsekwen-

(Dokończenie na str. 10 i 11)

Z Okręgowej Wystawy ZPAP w Lublinie

Władysław Filipiak — Kompozycja (olej)

TĘPIMY CHWASTY JĘZYKOWE

ONI BYLI PIERWSI

Wydoskonalenie narodowego języka wiele pomaga do powszechnego oświecenia.

(Jan Śniadecki)

Odwiedzał Lelewel Jana Śniadeckiego i toczył z nim zażarte boje o poprawność języka polskiego.

(Artur Śliwiński)

JAN CZESŁAW
K. MAKARSKI

Walkę o poprawną polszczyznę w mowie i piśmie uczniowie nazywają krótko „Akcją J". Dla uproszczenia sprawy będę też używał tego terminu.

Problem jest trudny i bardzo delikatny, bo trzeba ludziom zwracać uwagę, a są przecież i tacy, którzy tego nie lubią. Częściej sam rozpoczynam rozmowę z zainteresowanymi, ale zdarza się też, że uczniowie to czynią. Pouczam ich, aby zawsze zachowywali się bardzo grzecznie. W rozmowach wyjaśniam, że chodzi o nasze wspólne dobro, że nikt z nas nie jest bez błędu. Chodzi zawsze tylko o to, aby liczba naszych błędów była coraz mniejsza. Na pewno każdy z nas ma pewne przewinienia na swoim koncie językowym, zawsze znajdzie się jakieś uchybienie, zaniedbanie, przeoczenie, zapomnienie.

Główną rolę w „Akcji J" miała klasa XI b, która w kwietniu ubiegłego roku szkolnego spontanicznie zorganizowała własne Koło Miłośników Języka Polskiego.

Większe zainteresowanie sprawami języka

„Akcja J" zainteresowała uczniów. Zabrali się do niej z ochotą i zapałem. Na zebraniach Koła opowiadali, że walka o język stała się głośniejsza, przeniosła się do prasy. Coraz częściej znajdujemy w niej artykuły o błędach językowych.

Korzystnie wpłynęły na wzrost zainteresowań takie fakty, jak pojawienie się nie spotykanej w dziejach naszej kultury liczby słowników, np.: Słownika poprawnej polszczyzny — Stanisława Szobera, Słownika wyrazów obcych — Zygmunta Rysiewicza, Słownika wyrazów bliskoznacznych — Stanisława Skorupki, Podręcznego słownika języka polskiego — Michała Arcta, Słownika języka polskiego — Witolda Doroszewskiego, Małej encyklopedii powszechnej — Bogdana Suchodolskiego, nie mówiąc już o podręcznikach szkolnych, jak Zasady pisowni polskiej i interpunkcji ze słownikiem ortograficznym S. Jodłowskiego i W. Taszyckiego i wielu różnych podręczników gramatyki.

Korzystnie wpłynęły też na ruszenie „Akcji J" poza szkołą różne imprezy związane z Rokiem Słowackiego, z Dniami Oświaty, Książki i Prasy.

Słowem, daje się zauważyć coraz większe zainteresowanie sprawami języka. Mniej zajmują uzasadnienia teoretyczne, więcej wiadomości praktyczne, popyt na odpowiedzi związane z pytaniami: „Jak się pisze? Jak się wymawia" jest po prostu nieograniczony. Oprócz odpowiedzi radiowych i w prasie są też książki ze zbiorami odpowiedzi. Ale to wszystko nie jest wystarczające. Są pożądane, poszukiwane, oczekiwane książki o większym nakładzie z odpowiedziami na pytania spotykane częściej. Jest też bardzo wskazane, aby miejscowi poloniści urządzali „wieczory językowe" „słownikowe", „ortograficzne", „ortofoniczne" — aby udzielali odpowiedzi w miejscowym radiowęźle i miejscowej prasie.

Walka o czystość języka zaczęła się już dawno

Walka o poprawność i czystość języka, nieustające starania o zmniejszanie się liczby błędów językowych — a więc o postęp językowy — zaczęła się w naszej szkole już dawno. Niektórzy nauczyciele przestrzegają skrupulatnie tej poprawności u siebie i u uczniów, na lekcjach i poza lekcjami. Uczniowskie błędy językowe chwytane na gorąco są omawiane nie tylko na lekcjach języka polskiego, ale też i na lekcjach innych przedmiotów oraz przy każdej sposobności np. podczas przerw. Niektórzy nauczyciele egzekwują uczniowskie błędy językowe po prostu na równi z błędami swoich przedmiotów. Szczególnie mocne nasilenie tej walki jest właśnie w roku bieżącym. Prowadzimy z kolegami nie ustającą dyskusję na tematy związane przede wszystkim z tematem głównym, tzn. z „Eksperymentem Wolsztyńskim" czyli z „Akcją S" jednej z

(Dokończenie na str. 10)

Opowieść o papierowej koronie

JÓZEF CZECHOWICZ

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Przyszedł na wezwanie Henryka. Pierwszy raz jest oko w oko z rozkoszą. Helleński kształt odcina się wyraźnie na tle mroku. Cienka jedwabna materia pokrywa jego tors. Nogi ma nagie, jeno w biodrach przepasany ciężkim, purpurowym pasem kaszmirowym. Na pasie haft: Trzy Marie u grobu.

...Mistrzu, czemuś smutny?...

...Myślę...

...Odgoń myśl, jam jest miłość...

...A ja ból i groza...

Siadł przy Henryku. Cisza. Dłonie Henryka szukają jego drobnych dłoni. Gdy siedzą tak obok siebie, prąd potężny płynie przez złączone ręce, które są najdoskonalszym narzędziem rozkoszy. Szaleństwo zapala się w oczach Henryka, który w jego źrenicach widzi zarys swej twarzy płonącej gorączką.

I nagle pożar wybuchł w dłoniach drżących!

Słychać namięty szept: Chcę ciebie... Chcę ciebie...

W przegięciu niedorzecznym pocałunek. Gorący i nieprzytomny. Potem głowa o przepysznej rzeźbie legła na kolanach Henryka, a ten wżera się ustami w blade, rozchylone usta Diadumena.

Cisza dzwoni tętnem krwi rozszalałej i echem obłędu. Gorączka w skroniach. Ociężałość i ból w oczach. Lampa gaśnie.

I dobrze, niech będzie mrok.

Bije małe serce chłopięce, usta płoną żądzą całowania, jak omdlały mu leci przez ręce i u kolan bezsilnie się słania. Jak namiętna jest dusza ta młoda, jakże dziwne jest to miłowanie: spotkanie, rozstanie, spotkanie gniew i rozkosz — kwietniowa pogoda.

Henryk wychodzi.

Skrzypnęły drzwi, potem stuknęła furtka — poszedł do sadu.

Księżyca nie ma, ciemność, cienie drzew, majaki urojone... G R O Z A...

2

Henryk mówi:

Zbyt mało może człowiek i aż nazbyt wiele...

W taką noc nie może zwyciężyć samego siebie, nie może głębiny swej piaskiem zasypać. Nawet, jeśli tam brud, nawet, jeśli tam błotnisty grzech...

I tysiąc istnień sobie podobnych może zniszczyć: ogniem, dłonią krwawą, żelazem.

My tu daleko na wschodzie.

Wichry wieją wieczne na tej wysoczyźnie, więc nie słychać pochodu.

A gdy spojrzę na ciemne horyzonty, wiem, że przyjdzie stamtąd nawałnica. Zadudnią po drogach cielska dział i zatętnią kopyta hordy.

Może przyjść dzień i w cichą noc rozżagwić niebo łuną. Zginą miasteczka nad smutnymi jeziorami, zgliszcza zostaną z wiosek.

I krew!... jak wiele krwi...

To może człowiek... Za wiele! za wiele!

I tak mało człowiek może...

Nie odepchnie obłąkania, które się zbliża ku niemu szybkimi krokami.

Nie pokona lęku przed Nieznanem...

Skończył, nie domawiając.

Potworna cisza oczekiwania.

Wrzask targnął powietrzem:

„A k t o r t r a g i c z n y!!! Ha! Ha!"

Kto krzyczy?

Wściekłość w sercu: Kto śmie mękę nazywać grą?!!

Drapieżne serce się burzy, krwi łaknie. I nagle widzi Henryk, że w tym niekiełznaniu tai się obłęd... i chce wybuchnąć. Lęk w sercu... lęk, chłód... Jakże blade jest to, co krystalizuje myśl, przeszedłszy uprzednio głębie duszy! A same uczucia jak silne!

W duszy przemyka myśl czająca się — czyhanie na siebie samego. Przemyka i znów wraca. Nurtuje i rośnie. Myśl szepce: Po co wszystko? A wiesz, co to wszystko? Lęk przed obłędem... Groza duszy ludzkiej... Świadomość grzesznej miłości... Tragizm niewary twojej... Tyle czerwi duszę twą toczy! Skończ z tym... Skończ z tym! Skończ!

Krzyczy już kusząco i łasi się, jak chimera o tygrysich łapach.

3

Skrzypnęły drzwi.

Pokój Henryka ciemny, pusty jakiś i straszny.

Przypadł uchem do drzwi, za którymi roztacza się tęcza snów pani Hanki.

Lekki okrzyk: Koniec B A J K I!...

I grzmot w czterech ścianach komnaty!!!

Krzyki... szmery... stąpania... Ktoś mówi: „Taki młody"... Inny głos: „Bawi się".

Światła na korytarzu. Gwar.

Wnoszą lampę.

Dym się snuje. Proch pachnie.

Jak białe zjawisko, płynie ku niemu pani Hanka. Siada na łóżku jego i pyta: Gdzie krew? Boli?...

Kobiecym, gibkim ruchem ukrywa w fałdach rewolwer i gładzi Henrykową głowę bolesną. Igra z jego włosami: ...Coś ty chciał zrobić, Heniu, Heniu... Tylu żyje, tylu się męczy, ty jeden nie możesz wytrzymać. Przyrzeknij, że nie powtórzysz tego... Heniu...

A on majaczy w gorączce:

...Ręka drgnęła... Sił zbrakło drugi raz... Przeklęte nerwy!...

Potem łzy płyną mu po białych policzkach i spadają na poduszkę. Zaciśnięte wargi szepcą pomstliwie: Tchórz!... tchórz!... tchórz!...

Potem otchłań gorączki i niepamięci, cały teatr widziadeł i snów.

Odruchy ostatnie dumnej woli:

...Precz... nie męczcie... nie chcę litości!...

I znów borykanie się ze śmiercią. Zjawy. Widma. Majaczenia.

TEATR W DUSZY

SCENA PIERWSZA

Henryk jest królem.

Stanął właśnie w katedrze wawelskiej, w dzień koronacji. Oczy ma spuszczone. U stóp tyle dywanów, na których nogi biskupów i książąt w opiętych, zgrabnych butach. Brat królewski, Henryk głogowski, ma na napiętkach srebrne, cudnie rzezane ostrogi.

Połyski... lśnienia atłasu... ostre smugi jeśnień brylantowych... pastorał arcybiskupa płonie, jak miecz archanielski. Wszystko w smudze słońca.

Henryk machinalnie powtarza słowa przysięgi. Czuje, jak na łopatce i barkach namaszczają go tłuste palce dostojnika Chrystusowego.

I jednocześnie niepokój w nim: pomazaniec boży?... monarcha?...

Wreszcie ciężar klejnotów przytłacza mu głowę: to korona.

Nie czekając końca ceremonii powstaje z kolan, idzie ku wrotom katedry, rozwartym na słońce. Stąpa ciężko. Za nim tysiące kroków.

Cały orszak panów i comesów, świta pozłocista w aksamitach, atłasach i jedwabiach.

Przed nim w dwóch szeregach dwunastu paziów, błękitnym jedwabiem obszytych. I jeden, trzynasty, w purpurze.

— Odejdźcie wszyscy!

Król na zamku.

Zmierzcha się. Olbrzymie okna napełnione już są szarością wieczoru. Widać z nich dachy katedry i sylwety wieżyc różnokształtnych.

Marmurowa posadzka lśni jak woda... Cień jakiś na niej...

Król klaszcze w dłonie.

Szelest u drzwi. Zjawia się paź purpurowy, twarzą w twarz z Henrykiem.

...warz! Głębokie, orzechowe
...a światy! Włos jasnociemny
...d czołem... Kogom ja znał?...
...te oczy?...
...men!!!
...król ku niemu, płacze się w
...pronacyjnym, pada...
...budzi z omdlenia, leży na
...ch w pustej komnacie...
...jakieś twarze...
...armurze leży korona,
...z złotego papieru.
...dzenie...

AKTRAKT — JAWA

...enrykiem schyla się Jadwiga,
...tna, kochająca siostra. Głowę
...ęczoną dźwiga... przy niej księ-
...rz śniada i ostra. Przesiedzieli
...ą u łoża, przemyśleli całe jego
...Zwalon oto mocarny wielmoża
...ązane jest pnia tego gnicie. Ani
...ni ona nie wiedzą, co się waży
...duszy samotnej. Całą noc u we-
...wia siedzą, cały ranek posępny
...tny.

...— Korona, paziu, korona...

...arus łamie dłonie:

— Co z tobą, co ci mistrzu?...

...staje przed nim zjawa łąki pod
...inem i tych rozjaśnionych oczu,
...e teraz czerwienią się w gorączce.

...enryk w gorączce odwraca się do
...ny. Milczy. Osowiałe na gałęziach
...ble ćwierkają smutno. Deszcz pada.
...enryk znów zapada w marzenie, tym
razem długie, niespokojne, przewlekłe...

SCENA DRUGA

Śni mu się obłęd.

Gwar... gwar... gwar...

Krzyki, wrzask, co trzęsie wąską uliczką. Pogoń! Resztką sił w zdyszanym ciele pędzi on przed siebie. Za nim tłum. Świszczą kamienie, przekleństwa i drze opętańczy śmiech hołoty.

...Huź go!!! Zagnać tego jelenia!! Wrr! Weź go!

A on biegnie i pada na bruku.

Potem — chwila oszołomienia. Wrzawa nad nim, potem cichnie, oddala się... ginie. Przeleciało tysiąc stóp w wichurze dokoła niego. Nie zobaczyli — triumf!

Ale ta przeklęta cisza po tym wrzasku gromady. Słychać, jak serce dzwoni... Pulsuje krew w natężonych żyłkach na mózgu, odpływ i przypływ tego oceanu łomoce w końcach palców.

Nie chce się serce uspokoić...

...Pan nie tańczy?...

...Niestety...

...Przejdźmy się więc po ogrodzie...

...Służę pani...

Idą cichymi alejami, które są wysadzone ruchomymi drzewami. Kasztany po bokach alei uciekają pośpiesznie w tył, jak widok z okien wagonu. Henryk się niepokoi, lecz prowadzi dalej konwersację:

— Lubi pan muzykę?

— Pasjami, szczególnie Bacha, Palestrinę, Händla...

Piękna Helena wydyma pogardliwie usteczka:

— A ja Skriabina i Szymanowskiego...

— Słowem, uwielbia pani świeże transporty, prosto z paryskiej kuźni reklam artystycznych...

— Ach, panie!...

Nadąsana, idzie obok niego, piękna, pachnąca, lecz on ma serce zalane falą lęku. Bo drzewa uciekają w tył i tam, za jego plecami, gromadzą się w groźną hordę... Odwrócił się.

Wrzask! Znów tumult w ciasnej uliczce. On pędzi, pędzi ręka w rękę z piękną laleczką, której profil jest ukształtowany nie przez Pana Boga, lecz przez Żmurkę.

Biegną na plac przed jakimś gotyckim tumem.

I naraz nogi zamiast błyskawicznego lotu plączą się w taneczny rytm. La, la, la, la, la, la...

Tańczą na placu. Tłum obstąpił koliskiem szerokim i patrzy. Nad dywanikiem cyrkowym unoszą się ich stopy. On gra na faunowej, wielogłosej organce, ona poświstuje purpurowymi usteczkami.

...Przestań!

...Ty przestań!

...Nie graj!

...Nie świszcz!

...Mówiłeś, że nie tańczysz!

...Bo i nie tańczę...

Znów nadąsania się. Ona zdjęła czapeczkę i obchodzi tłum. Ciemnowłosa głowa miga tu i owdzie pod niebem pochmurnym. Grze, dużo groszy... Idzie ku niemu rozsypuje grosze u jego stóp. Dzwoni złoto...

...Korona się toczy!

Papierowa korona ze szklanymi klejnotami toczy się przez tłum rozstępujący się. On biegnie za nią, za utraconą królewskością

Wichr ją unosi nad wieże katedry. On wzlatuje w powietrze... Zabawa w chowanego. Złoty papier to osiądzie na jakimś łbie kamiennej chimery, to na smoku olbrzymich wodotrysków, to spocznie na balustradzie ganku lub we wnętrzu rozety nad portalem. Wirują oboje w szalonej igraszce wiatru. On i korona... Tłum ryczy z radości. Lot! Lot! — — — groza!!! Spadanie!!

. . . . . .

— Pani Jadwigo, trzeba by już okład zmienić na czole.

— Panie Janie, przyniesie pan trochę mleka z kuchni. Dobrze?

Kroki, szelesty... Czemu ciemno?... Aha, wieczór?... Clarus i Jadwiga.

. . . . . .

Pałac płonie? Niech płonie.

Czerwonym światłem nalały się szyby sali. Trzaskają okna przepalone. Ognista rzeka wlewa się do wnętrza... Co to? Zaświaty? Fale Acherontu i Kocytu, a tam, w mroku sklepień gotyckich, Lethe, rzeka zapomnień, ciszy i spokoju.

Zaświaty czy huta?... Może to lawa gorącego żelaza?...

Pożar!!

Uciekać!!!

Lecz pałac jest bez wyjścia. Próżno biegnie po salach, nie kończących się amfiladach komnat. Nie ma wyjścia! Cichutka muzyka: one step. Marzące, perwersyjne, niesamowite dźwięki... Znów wir tańca. Tańczy król wśród ognia języków płomienistych i fali złotogrzywej one stepa.

— ...Henryku! Henryku!

Zamiast słońca świeci na niebie znak kabalistyczny. Przed Henrykiem mędrzec Zmierzchoświt wykłada Bhagawadgitę.

...Werset 45 Sànkha-yogi zaczyna się od słów: w Wedzie są trzy gnuy... Nazwy tych gnu są: sattda, radżas, tamas... Człowiek w obłędzie, tak jak ty, jest tamas, to znaczy musi wierzyć w upiory, demony i inne bhutas: lękasz się ich i one to cię dręczą... jesteś w ich władzy.

Henryk odwraca się od mędrca i mówi pogardliwie:

— Głupiś...

. . . . . .

— Bredzi, zupełnie nieprzytomny.

— Gorączka?

— 39.5.

— Źle, bardzo źle... Jednakże niech się pani nie martwi, panno Jadwigo. Brat będzie żył, choć doprawdy...

Lekarz potrząsa dziwnie siwą głową.

. . . . . .

Łąka, słońce, tyle kwiatów.

...Co to? Skąd to dziwne ciało, co to za twory wokół mnie?

— Aha to centaury. I ja też jestem właścicielem czterech kopyt i cudnego ogona. A jeśli się jest półkoniem, co się je: to, co ludzie, czy trawę?

Słońce zachodzi.

Tabun centaurów biegnie do lasu, na nocleg.

Henryk z nimi. Nagle buntuje się. Po co ja wśród tych koni?

Zawraca do miasta.

Kiedy się jedzie z Kalinowszczyzny, sylwety dominikańskich murów i katedry cudnie rysują się na niebie. Wieżyczki, dzwonnice, absydy, wieża trynitarska tak drobnym, delikatnym haftem rzucone na tło szarzejącego nieba. A u dołu tyle czerwieni!

W mieście pusto i głucho. Płoną już gazowe latarnie i półmrok zalał chodniki. Świecą szyby wystawowe sklepów.

Człapią kopyta centaura pod niskim łukiem Krakowskiej Bramy. Plac szeroki... Trzy stalowe fortece, trzy tanki. Na przedmieściach salwy. Centaur stoi, słucha... Wiatr powiewa czerwoną chorągwią na magistracie... To rewolucja!!

„Alons enfants de la Patrie"...

Centaur wzniósł jedno kopyto, jeszcze milczy, nasłuchuje.

Aż kiedy na zwycięstwo woli ludu zabiły, zatrzeszczały bębny, lubelski lajkonik runął w cwał Krakowskim Przedmieściem...

Jak grad spadają uderzenia kopyt ostro podkutych, rozwiewa się pyszny, jedwabisty ogon. Centaur przelatuje jak lipcowa burza i niesie się hen, za miasto, wieścić polom swobodę.

Łąka, słońce, dzikie kwiaty, rzeka.

Leży na trawie i patrzy w potok. Bo coś tam błyszczy w głębinie, coś za bardzo słoneczny ma blask. W szklanym słońca się krwawi rubinie, obiecuje miód królewskich łask. Wśród namułu rzecznego rzucona, kołysana w takt sennego fal szmeru, przebłyskuje z dna głębiny korona, Henrykowa korona z papieru... Łzy, łzy, łzy...

. . . . . .

— Heniu, czemu płaczesz?... Nie można, dziecko, nie można...

— Mistrzu... (jaka to musi być męka)...

Henryk otwiera oczy: Tak, to oni. Clarus i Jadwiga.

...Czy ja płaczę?... a prawda... twarz mokra... to nic, to ja tak tylko... mnie nic nie boli, tylko dusza... Ale mi wesoło. Mogę nawet śpiewać:

La, la, lala, la, la..

— Znasz to, Jadziu? To gawot D-moll Bacha... Las mi się marzy...

. . . . . .

Dom zatopiony w mroku w oceanicznym drzew szumie.
Gwiazdzisty strop jest ponad nim, jakby w gotyckim tumie.
Tony minorowe płyną z fali późnego wieczoru,
To fujarka się żali wśród ciszy bajkowego, uśpionego boru...
Tak urocznie gra drzewom i niebu i pełnemu gwiazd białych jezioru...
Jakieś echa dolatują z głębi, z łysiejących do księżyca polan:
To się dziewki wiejskie roztańczyły, podkasane wysoko do kolan.
Świeci księżyc i dzwoni fujarka, deszczyk lekki lecz rzęsisty pada...
W tańcu nocy księżycowej tonie bezpamiętna, dziewczęca gromada!
A pod domem prześwietloną dłonią ktoś zakrywa świeczkę gorejącą:
Balladyna wychodzi do Grabca w noc majową, w letnią noc gorącą...
W wszystkich oknach domu ciemno, lecz dom nie śpi. Szmery słychać, ciche pocałunki.
Wszyscy chłopcy są dziś, jak półbogi — wszystkie dziewki, jak leśne bogunki.
A na drzewie, wysoko, w gałęziach, oczy topiąc w księżycowej twarzy,
Siedzi mały, samotny Diadumen i o dziwnym swoim życiu marzy...

ANTRAKT — JAWA I MARZENIE

— Pani Hanko, czemu on wciąż marzy o jakimś chłopcu?

— Pani nie wie?

Tu Hanka nachyla się do ucha lekarza i szepce coś z półuśmiechem. Kobieta! Lekarz opowiada sprawę również po cichu trzem pannom Dulskim, które uwielbiają talent poetycki Henryka i przyszły dowiedzieć się o jego zdrowie.

Siostra wie i Clarus wie, ale milczą.

A tam — śmiech. Gruby brzuch jowialnego staruszka podskakuje w śmiechu. Krzywi ironicznie usta przepyszna pani Hanka.

I nagle wybuch! przysiadły, przykucnęły dusze przerażone... Nie trzymając się scen, w pośrodku antraktu, krzyczy Henryk:

— Kurtyna !Ja gram!!

. . . . . .

Rzym. Kazalnica papieska w bazylice św. Piotra.

Łachmany królewskiego płaszcza na Henrykowych barkach, brudne, zszargane gronostaje i papierowa korona na zwichrzonych włosach...

— Już wie czereda o mojej miłostce...

Jakżeż bowiem mam nazwać to, co jest na tylu ustach roześmianych, ucieszonych radością, że jest taki głupi, który nie kocha kobiety. W istocie głupi: przecież instynkt rozpłodowy tylko w „miłości" ku kobiecie zadowolić można.

O głupi człowieczku, coś trwogę przed kobietą wyniósł z rodzinnego domu!

O chłopcze, coś wierzył szkicom Ropsa i Beardslaya!

Kochałeś raz i nie wiedział nikt głębi twej miłości. Męczarnią twoją nie dręczył się nikt — jeden tylko przyjaciel Zygmunt...

Kochałeś znowu kobietę, dziewczę, pachnące jak chłopiec i świeże. Tym razem nie wiedział o tym nikt prócz siostry...

Kochałeś teraz chłopca, wie o tym ludzi kilkoro i śmieją się do woli.

To ja, ten grzeszący głupotą, o najukochańsze moje bydło!

Głos w tłumie:

— Aktor tragiczny!

Lecz Henryk, zapamiętały w bólu, nie odczuł ciosu. Myśli jego szepcą: Zemścij się, wymierz cios w serce hołoty!

I naraz kąty ust Henryka ściągają się bezgraniczną pogardą, a twarz staje się demoniczne brzydka w grozie zemsty. Mówi z urągowiskiem:

—Tyle jest słów ewangelii świętej na niedzielę dzisiejszą...

. . . . . .

Ksiądz nachylił się nad potępieńczymi oczyma Henryka i woła:

...Mistrzu, zbudź się... ja się boję... co za dusza w tobie?...

Jadwiga płacze w kącie, a może i nie płacze, może tylko oczy zakryła przed grozą. Serce jej woła z lękiem: Brat...

Deszcz pada, chwieją się gałęzie za oknami, skrzypi brzoza na wichrze.

Prawda. To na jawie... Życie...

— Jak te sny mnie trudzą...

SCENA TRZECIA

Maestoso:

Pan wyrzekł ostatnie słowa
Zwisła mu z ramienia głowa...

Słyszy Henryk jęk tysiąca piersi, tysiąca dusz, które wierzą.

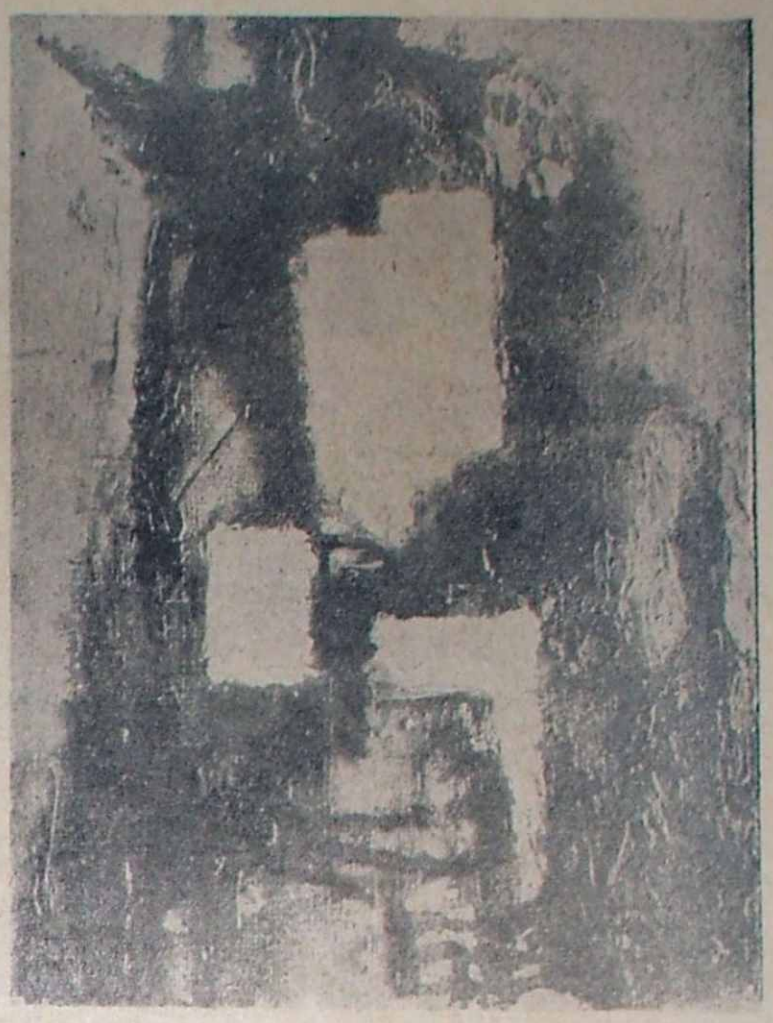

Z Okręgowej Wystawy ZPAP w Lublinie
Jarosław Łukawski — Kompozycja (olej)

Cóż to za wiara, że trwa wieki, nie przemija? Ani jednej gorzkiej nutki nie ma w jego duszy. Siedzi na wieży i słucha wielkopiątkowej pasji.

Ciemno. Gwiazd pełno w oknach strzelistych. Pełno śpiewu w ogromnym kadłubie kościoła. Jęk ludzki wchłaniają dzwony w muszle swe potworne i cichutko się skarżą.

W Henryku ogromna powaga.

Przebiegają myśli:

...Czemu nie mogę wierzyć? Wyrzuciłem się sam, rozpędem własnym poza koło wiar, a teraz tęsknię... Kościół?... Nie, tu wrócić nie mogę...

A ta wiara, co bezświadomie rośnie w duszy, jest jakaś zbyt prosta, krytycyzm mój nie chce jej przyjąć. Tyle, tyle miesięcy mego życia było szukaniem czegoś poza tym. Zawszem starał się zajrzeć poza lustra, które przypadek rozstawił dokoła. Szukałem czegoś, a tęsknota mówiła, że to będzie coś wyższego... znalazłem zaś teorię. O goryczy!

Cień na schodach wieży.

Pełznie w mroku po rusztowaniach, wyżej, wyżej... dosięga Henryka.

Siadł naprzeciw na belce potężnego dzwonu.

To Postumus. Słowa jego płyną chrapliwym, mądrym szelestem:

— Ja! Ja! Jestem już tu, tragiku, i powiem ci, co było i co będzie. Chcesz? A choćbyś i nie chciał, powiem. Bo ja wierzę w los, w Los przez wielkie L. Odnalazłem formuły psychologii matematyczne i niewzruszone. Jestem jak mag. Po twoich czynach wiem, co z tobą będzie...

— Nie ciekawym...

— Moja matematyka powiada: rzuciłeś wiarę — szukasz wiary. Oczywiście, znalazłeś zamiast niej teorię i wprowadzasz ją w czyn. Tu się załamiesz. Powiadasz, że sam świadomie tworzysz winę i karę. A czy wiesz, jaka twoja kara? A czy wiesz, że grzech twój największy ukryty przed twą świadomością? A czy wiesz, że to, co ty za grzech poczytujesz, ta miłość do chłopca, to dziecinada?... A jeśli tym się tak męczysz, co będzie z istotną winą, jak wielka będzie kara? Znasz ją? Ty ją tworzysz?! Czerwiu! Robaku!

— Odejdź, kusicielu, ode mnie. Odejdź od posępnych mych źrenic...

— Gniewasz się, mistrzu? Pusz się i rób wielkim, póki cię wichr bólu nie złamie. Twa wyrozumowana wiara zgniecie cię. A nie zapomnij teoryj swych wprowadzać w czyn, bo pomyślę, że zląkłeś się moich wróżb...

W ciemnych oczach Henryka wzbiera gniew. Zamiast bolesnych pieśni gorzkich żalów, słyszy tylko swą, krew wzburzoną i tętniącą.

— Milcz, nie szydź! Ty nie żyjesz! Tyś jest zjawa moich złych, czarnych myśli. Buntujesz się, ale jam twój pan. Kąsasz, ale legniesz u stóp, zwierzu...

Płomień na włosach Henryka, burza nad czołem zmarszczonym. Postumus przypadł do dzwonu, niby pokorny i zgnębiony. Płaszczy się. Pełznie od dzwonu do dzwonu, ku schodom. Aż przy ostatnim porwie się i ryknie w dzwon, który echem odegrzmiał straszliwym...

... Groom!!! Grooom!!! — ryczy dzwon — OOooOm!!! OOooO!

Zygmunt tętni... — niepokoją się inne dzwony.

Pękło wszystko w Henryku. I nerwy natężone i rozpalony do białości gniew. Spadanie w dół... Otchłań... Przebudzenie.

ANTRAKT — JAWA

Muzyka. Zapach kwiatów zmieszany, niewyraźny. Zdaje się, że heliotropy i astry. Menuet Mozarta jest tym zaczarowanym fletem, który każe pląsać splecionym parom. Do ciemnego pokoju wpada przez drzwi smuga światła, zapachu i melodii.

Cień w jasnym czworokącie drzwi.

— To ty, Jadziu?...

— Ja... Nie śpisz?... Może ci źle?...

— Nie, nie, tylko tak pali gorączka.

— Jedz pomarańcze... ugasisz pragnienie...

Zapach namiętny złotego owocu. Zjawa słonecznych italiskich sadów. Przelotna myśl o dłoniach Monny Lizy. Więc ją jeszcze pamięta? w gorączce...

— Jadziu, jakaś ty ładna w tym mroku, z tuberozą w czarnych włosach. Suknia rubensowska, bogata, uwydatnia twą kobiecość. I cała snujesz się w atmosferze balu, muzyki... Tam bal, prawda?

— Tak, Heniu, śpij już, śpij, i nie mów komplementów... Dobranoc.

Wyszła.

Nowy cień w drzwiach. Maleńki, przesuwający się bez szelestu. To Diadumen. Gdy się ogląda za siebie, widać w świetle złote, rzadkie brwi i tajemnicze oczy. Bez oddechu płynie na bosych stopach leciutko jak zjawa.

Jest przy Henryku. Nachyla się nad nim i szepce:

...Mistrzu...

Nie ma odpowiedzi, ale słychać w ciemności oddech niespokojny, gorączkowy i żar bije od chorego. Drobna dłoń wsuwa się pod poduszkę i wyciąga stamtąd paczkę, wiązkę listów. Listy Maryli.

Lekkie kroki płyną do kominka, na którym czerwony żar pełznie po gasnących węglach. Przy tym świetle Diadumen przegląda listy i rzuca je po kolei w ogień... Giną słowa...

„Nie chcę niczego już od Ciebie... Smutna pogoda w moim sercu"...

„...przyjdź w wieczór wigilijny, biały, biały od śniegu, na tę ulicę, co zwykle. Będę czekała, dobra i kochająca..."

„... przyjdzie wiosna dla mnie i dla ciebie, tylko mi nie bądź smutny..."

Giną słowa.

Małe dzikie serce nienawidzi swej rywalki. Chce mieć całe jego serce i całą jego miłość. Schyla się nad Henrykiem, całuje rozpalone usta i znika. *)

*) Przedruk z „Reflektora" 1923 r.

(Dokończenie w następnym numerze)

LEW i SŁOŃCE

ANTONI CZECHOW

Przełożyła

MARIA BECHCZYC - RUDNICKA

Jedno z miast położonych po naszej stronie Uralu obiegła nagle wiadomość, że przed kilku dniami przybył tam i zatrzymał się w hotelu „Japonia" dygnitarz perski Rachat-Helam. Wiadomość ta nie wywarła na mieszkańcach większego wrażenia: przyjechał Pers to i niech sobie. Jeden tylko burmistrz, Stiepan Iwanowicz Kucyn, dowiedziawszy się od sekretarza magistratu o przyjeździe wschodniego gościa, wpadł w zadumę, po czym zapytał:

— Dokądżeż on jedzie?

— Zdaje się do Paryża czy Londynu.

— Hm!... Widocznie gruba ryba?

— A diabli wiedzą.

Po przyjściu do domu i spożyciu obiadu burmistrz ponownie wpadł w zadumę. Dumał tym razem aż do wieczora. Zainteresowało go przybycie dostojnego Persa. Miał wrażenie, że sam los zesłał mu tego Rachat-Helama, że przyszła wreszcie sposobna pora na realizację pewnego marzenia. Rzecz w tym, iż Kucyn posiadał dwa medale, order Stanisława stopnia trzeciego, znaczek Czerwonego Krzyża i odznakę Towarzystwa do niesienia pomocy tonącym, nadto wykombinował sobie breloczek (złotą strzelbę na krzyż z gitarą), który będąc wetknięty do pętelki munduru sprawiał z daleka wrażenie czegoś osobliwego i mógł z powodzeniem uchodzić za odznakę honorową. A wiadomo skądinąd, że im więcej się ma orderów i medali, tym bardziej się pragnie mieć jeszcze inne. Co do naszego burmistrza, to pragnął on już od dawna perskiego orderu „Lew i Słońce", pragnął namiętnie, pożądał do utraty zmysłów. Wiedział doskonale, że dla otrzymania tego wyróżnienia nie trzeba walczyć na froncie, ani dawać na ochronkę, ani pełnić funkcji społecznych, potrzebny jest jedynie szczęśliwy przypadek. I zdawało mu się właśnie, że teraz taki przypadek się nadarzył.

A więc nazajutrz w południe burmistrz nasz przypiął wszystkie swoje dekoracje, nałożył łańcuch i pojechał do „Japonii". Los mu sprzyjał. Kiedy wszedł do pokoju dostojnika perskiego, ten był sam i nic szczególnego nie robił. Rachat-Helam, Azjata w fezie, olbrzym o długim, bekasim nosie, oczach wyłupiastych, siedział na podłodze, grzebiąc w swojej walizce.

— Proszę mi wybaczyć, jeżeli przeszkadzam — zaczął Kucyn z przymilnym uśmiechem. — Mam zaszczyt przedstawić się: kawaler orderu św. Stanisława Stiepan Iwanowicz Kucyn, tutejszy burmistrz. Poczytywałem sobie za powinność złożyć hołd waszej ekscelencji, jako, rzec można, osobie, która reprezentuje sąsiadujące z nami i zaprzyjaźnione mocarstwo.

Pers odwrócił się do niego frontem i coś wymamrotał w lichej francuszczyźnie, która brzmiała jak stukanie kijem po płocie.

— Granice Persji — ciągnął Kucyn przygotowaną starannie mówkę powitalną — granice Persji przylegają ściśle do rubieży naszej rozległej ojczyzny, toteż wzajemne nasze sympatie skłoniły mnie, że tak powiem, do zaprezentowania waszej ekscelencji wyrazów solidarności.

Dostojnik perski powstał i znów coś wymamrotał w swojej drewnianej mowie. Kucyn, który nie władał obcymi językami, potrząsnął głową na znak, iż nie pojmuje.

„No jakżeż tu będę z nim gadał? — pomyślał sobie przy tym. — Warto by posłać zaraz po tłumacza, ale sprawa jest delikatna, nie wypada mi mówić przy świadkach. Tłumacz rozniósłby wszystko po mieście".

I Kucyn zaczął przypominać sobie obce wyrazy, które poznał z gazet.

— Jestem burmistrzem... — wymamrotał. — To jest lord — mer... municypalite. Wuj? Komprene?

Pragnął określić za pomocą słów czy też mimiki swoje stanowisko społeczne, ale nie wiedział, jak to zrobić. Wyręczył go wiszący w pokoju obraz z wielkim napisem: „Miasto Wenecja". Stiepan Iwanowicz wskazał palcem na miasto, potem na swoją głowę. W ten sposób miało, według niego, powstać zdanie: „Jestem burmistrzem". Pers nic a nic nie zrozumiał, lecz uśmiechnął się i powiedział:

— Dobzi, musje... dobzi...

Po upływie pół godziny burmistrz poklepywał już Persa po kolanie i po ramieniu, mówiąc swobodnie:

— Komprene? Wuj? Jako lord-mer i municypalite... proponuję ekscelencji odbycie małego promenażu... Komprene? Promenaż...

Kucyn wskazał znów na Wenecję i sparodiował dwoma palcami kroczące nogi. Rachat-Helam, który nie odrywał oczu od jego medali, domyślił się widocznie, że jest to najwybitniejsza osoba w mieście, zrozumiał słowo „promenaż" i wyszczerzył uprzejmie zęby. W następnej chwili obaj włożyli okrycia i wyszli z pokoju. Na dole, koło drzwi do restauracji „Japonia", Kucyn pomyślał, że wypadałoby może uraczyć Persa. Zatrzymał się więc i, wskazując mu na stoły, powiedział:

— Wedle zwyczaju rosyjskiego nie zawadziłoby tego... piure, anrykot... szampań itd... Komprene?

Dostojny gość zrozumiał tym razem dokładnie i niebawem siedzieli już w najlepszym gabinecie restauracji, popijając szampana i zajadając smakowite potrawy.

— Wypijmy za pomyślność Persji! — rzekł Kucyn — My, Rosjanie kochamy Persów całym sercem. Aczkolwiek wiary nasze są różne, ale wspólne interesy, wzajemne, że tak powiem, sympatie... postęp... Rynki azjatyckie... penetracja pokojowa, że tak powiem...

Dygnitarz perski pił i jadł z wielkim apetytem. Wskazując palcem na wędzonego jesiotra, pokiwał w zachwycie głową i powiedział:

— Dobzi! Bjen!

— Smakuje ekscelencji? — ucieszył się burmistrz. — Bjen? A no to świetnie! — I zwracając się do kelnera powiedział: — Łukaszu, każno, bracie, zanieść do pokoju jego ekscelencji dwie takie rybki, ale najprzedniejsze, rozumiesz?

Potem burmistrz i dygnitarz perski wybrali się do ogrodu zoologicznego. Mieszkańcy miasta mieli sposobność obserwować, jak ich Stiepan Iwanowicz, z kolorami na twarzy, rozbawiony, w iście szampańskim humorze, oprowadzał Persa pryncypalnymi ulicami i po targu, pokazując mu godne uwagi osobliwości, jak wspinał się z nim nawet na wieżę strażacką.

Obywatele miasta widzieli między innymi, że burmistrz zatrzymał się koło bramy strzeżonej przez dwa kamienne lwy i wskazał Persowi najpierw na lwa, potem w górę na słońce, potem na własną pierś, potem znów na lwa i na słońce, a Pers pokiwał głową, jakby na zgodę, odsłaniając w uśmiechu swoje białe zęby. Wieczorem obaj siedząc w hotelu „Londyn" słuchali arfiarek, a gdzie przebywali nocą — nie wiadomo.

Następnego dnia burmistrz przybył rano normalnie do magistratu; ale pracownicy widocznie już coś niecoś wiedzieli i snuli różne domysły, albowiem sekretarz podchodząc do zwierzchnika rzekł z zagadkowym uśmiechem:

— Persowie mają taki zwyczaj: gdy przyjeżdża jakiś znakomity gość, gospodarz musi własnoręcznie zarżnąć dla niego barana.

A wkrótce potem przyniesiono z poczty kopertę. Kiedy Kucyn ją otworzył, znalazł w środku karykaturę. Przedstawiała Rachat-Helama i klęczącego przed nim burmistrza, który mówił, wyciągając do niego dłonie:

Na znak przyjaźni dwóch monarchii,
Rosyjskiej i Iranu,
By uczcić Cię, o godny pośle,
Zarżnąłbym siebie jak barana,
Lecz mam, przepraszam, mięso osłe.

Stiepan Iwanowicz doznał uczucia, jak gdyby go ściskało w dołku, ale nie trwało to długo. W południe znalazł się znów u dostojnika perskiego, znowu go ugościł i, pokazując osobliwości miasta, zaprowadził do bramy kamiennej i znów wskazywał raz na lwa, raz na słońce, raz na swoją pierś. Obiad jedli w „Japonii", po obiedzie, zarumienieni, w wyśmienitym nastroju, znowu wspinali się na wieżę strażacką, przy czym burmistrz, chcąc widocznie uraczyć gościa niecodziennym widowiskiem, krzyknął z góry wartownikowi chodzącemu u stóp wieży:

— Uderzno na alarm!

Jednak alarm się nie udał, ponieważ strażacy byli w łaźni.

Kolację zjedli w „Londynie", a po kolacji Pers wyjechał. Na dworcu Stiepan Iwanowicz pocałował się z dygnitarzem trzykrotnie, wedle zwyczaju rosyjskiego, i nawet łza błysnęła w jego oku. A kiedy pociąg ruszył, wzruszony Kucyn zawołał:

— Proszę pozdrowić od nas Persję i powiedzieć jej, że ją kochamy!

Minął rok i cztery miesiące. Był siarczysty mróz — ze trzydzieści parę stopni — dął dojmujący wiatr. Stiepan Iwanowicz chodził jednak ulicami, w rozpiętym futrze i przykro mu było, że nikt mu się nie nawinął, że nikt nie widzi „Lwa i Słońca" na jego piersi. Przechadzał się w rozpiętym futrze aż do samego wieczora, okrutnie zmarzł, a w nocy przewracał się z boku na bok, dręczony bezsennością.

Miał wielki ciężar na duszy, paliło go coś we wnętrzu, serce niespokojnie pukało: pragnął teraz otrzymać serbski order „Takowa". Pożądał go namiętnie, aż do utraty zmysłów.

MIĘDZY DAWNYMI I NOWYMI LATY

WŁODZIMIERZ WÓJCIKOWSKI

Millenium...

Historia tworzy świadomość narodową — nie możemy o tym zapominać, musimy ją wykorzystać jako istotny składnik tego, co dziś tworzymy. Przez wykorzystanie postępowych tradycji przeszłości stwarzamy podstawy współczesności. Otóż wydaje mi się, że nasza prasa zbyt mało popularyzuje sprawy Tysiąclecia, choć przekroczyliśmy już jego próg. Warto tedy przypomnieć czytelnikom, jak przedstawiają się ogólne plany obchodów milleniowych.

A więc w roku bieżącym główny akcent położony jest na obchodach grunwaldzkich i Roku Chopinowskim; w przyszłym zajmiemy się zagadnieniami oświaty, w 1962 problemami kultury narodowej. W roku 1963 obchodzić będziemy setną rocznicę powstania styczniowego i zajmiemy się w ogóle zagadnieniem walk narodowo-wyzwoleńczych; następny poświęcony będzie nauce polskiej oraz sprawom wsi i przyrody. Rok 1965 przyniesie obchody XX-lecia Polski Ludowej i jednocześnie tysiąca lat państwowości polskiej, obchody Roku Ziem Zachodnich, Wielkopolski i najstarszych grodów, wreszcie w roku 1966 zakończy się Millenium podsumowaniem — problemami dalszego rozwoju kraju.

Dla nas ważne jest przede wszystkim pytanie, jaka może i powinna być rola Lubelszczyzny w obchodach Tysiąclecia? Rola określona jej udziałem w życiu całego narodu na przestrzeni dziejów.

Region nasz od początku państwa polskiego posiadał duże znaczenie, narzucone najpierw przez jego graniczny charakter, potem przez centralne położenie w państwie Jagiellonów. Jest miejscem Unii Lubelskiej, ważnym ośrodkiem reformacji, siedzibą Trybunału Koronnego. Tu toczyły się od końca wieku XVI zacięte walki chłopskie, potem wojny kozackie i szwedzkie, tu zawiązała się konfederacja tyszowiecka. Gdy przyszły rozbiory i upadek gospodarczy, u nas skupiało się jednak aktywne życie kulturalne. Wiek XIX znajduje na Lubelszczyźnie odbicie wszystkich postępowych jego haseł. Wreszcie w okresie okupacji hitlerowskiej region nasz zapisał sobie w walce z najeźdźcą krwawe i chlubne karty, by po wyzwoleniu włączyć się aktywnie w dzieło odbudowy kraju.

W związku ze zdarzeniami, które żyją na pożółkłych kartach historii i w naszej pamięci, wysuwa się zagadnienie nie tylko obchodu łączących się z naszą ziemią rocznic, ale i podjęcia badań historycznych w celu pełniejszego ich oświetlenia, gdyż pod tym względem nasze województwo jest w stosunku do innych bardzo zaniedbane.

Sprawy te znalazły swoje odbicie na sesjach Wojewodzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu, które odbywały się już w pierwszej połowie ubiegłego roku. W czerwcu kierunkowe zadania Millenium w naszym województwie omówił przewodniczący WK FJN Władysław Kozdra, a referat o głównych zagadnieniach oraz konkretnych pracach zaplanowanych i już podjętych wygłosił doc. dr Tadeusz Mencel, dyr. Wojewódzkiego Archiwum Państwowego. Wybrano również wówczas Komitet Obchodu Tysiąclecia w osobach prof. prof. Kazimierza Myślińskiego, Józefa Mazurkiewicza, Tadeusza Mencla i mgr Ireny Iskrzyckiej.

Główny ciężar prac związanych z Millenium ciąży oczywiście na historykach. Plan badań historycznych jest bardzo szeroki. W miastach powiatowych odbędą się sesje naukowe poświęcone dziejom samych miast i należących do nich terenów (sesje takie odbyły się już w Łukowie i Chełmie, następna planowana jest w Kraśniku). Zostaną opracowane i wydane monografie poszczególnych powiatów prace źródłowe; przewiduje się tworzenie muzeów regionalnych. Prowadzi się już także szereg badań archeologicznych (m. in. w samym Lublinie).

„Rocznik Lubelski", który redagują prof. prof. Jan Dobrzański i Tadeusz Mencel, zajmie się również tematyką Millenium. Ukażą się więc tomy „Rocznika" poświęcone Lublinowi, zagadnieniom badań archeologicznych, powstaniu 1863 r., XX-leciu Polski Ludowej.

Zdaniem przewodniczącego Lubelskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego, konieczne jest także urządzenie w najbliższym czasie tzw. kursokonferencji dla nauczycieli, która zapozna ich z metodą zbierania materiałów i prowadzenia badań historycznych, co pozwoli na bardziej wartościowe naukowo włączenie ich w problematykę Tysiąclecia.

Słowem program jest obszerny, nie sposób wymienić tu wszystkie podjęte i zaplanowane prace, w których aktywny udział biorą profesorowie lubelskich uczelni, Polskie Towarzystwo Historyczne, Wojewódzkie Archiwum Państwowe, Muzeum Lubelskie, Biblioteka UMCS itp.

Oprócz historyków aktywnie w pracach związanych z Tysiącleciem uczestniczą również lubelscy geografowie, językoznawcy, etnografowie; także TWP, Filharmonia, Teatr.

W ogólnych przygotowaniach uderza jednak brak kilku spraw, których ze względu na ich wagę nie można pominąć milczeniem i do tego chcielibyśmy sprowadzić zasadniczą treść artykułu.

Zwraca więc przede wszystkim uwagę mały udział w pracach Tysiąclecia organizacji społecznych i kulturalnych (w tym i młodzieżowych), historyków sztuki, kultury, literatury. Z tego powodu bardzo źle przedstawia się nie tylko sprawa szerokiej propagandy zagadnień Millenium wśród całego społeczeństwa, któremu ma przecie służyć, ale w ogóle za mało uwzględnia się ważne dla Lubelszczyzny zagadnienia naszej kultury (zawierające tyle luk).

Wydaje się także że zbyt szczupły jest skład Komitetu Tysiąclecia. Nie może on, siłą rzeczy, skupić wszystkich zasadniczych zagadnień, nie jest m. in. w stanie pełnić leżącej w jego kompetencji kontroli nad przebiegiem i poziomem wszystkich uroczystości odbywających się w terenie z inicjatywy miejscowych czynników (jak np. niedawno w Zamościu).

Komitet ten powinien liczyć przynajmniej kilkanaście osób reprezentujących różne dziedziny życia społecznego.

Toteż nie mamy jeszcze opracowanego planu udziału Lubelszczyzny w obchodach Millenium zgodnie z planem ogólnym, przewidującym nasilenie pewnej problematyki w poszczególnych latach. Brak dopracowanego

(Dokończenie na str. 8)

Z LUBELSKICH POETÓW

Niniejsza kolumna została opracowana z myślą o uczestnikach VII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorów. W tegorocznym konkursie organizatorzy położyli większy nacisk na poezję współczesną, aby w ten sposób zbliżyć do niej szersze grono odbiorców.

Wojewódzka Poradnia Kulturalno-Oświatowa L. D. K. przedstawia na łamach „Kameny" uczestnikom konkursu z terenu województwa lubelskiego wiersze poetów lubelskich. Wybór jest może przypadkowy, jeśli idzie o reprezentowanie autora, jest bowiem tylko zestawem materiałów o wyraźnie określonym przeznaczeniu.

JÓZEF CZECHOWICZ
(1903–1939)

Na wsi

Siano pachnie snem.
Siano pachniało w dawnych snach.
Popołudnia wiejskie grzeją żytem,
słońce dzwoni w rzekę z rozbłyskanych blach,
życie — pola — złotolite.

Wieczorem przez niebo pomost:
wieczór i nieszpór.
Mleczne krowy wracają do domostw
przeżuwać nad korytem pełnym zmierzchu.

Nocami, spod ramion krzyżów na rozdrogach,
sypie się gwiazd błękitne próchno,
chmurki siedzą przed progiem w murawie —
to kule białego puchu —
dmuchawiec.

Księżyc idzie srebrne chusty prać.
Świerszczyki świergocą w stogach.
Czegóż się bać?

Przecież siano pachnie snem,
a ukryta w nim melodia kantyczki,
tuli do mnie dziecięce policzki,
chroni przed złem.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI
(ur. 1897)

Wtedy

To było przed ćwierćwieczem,
kiedy matka śpiewała melodyjnym głosem
i nie chodziła jak dziś z laską,
a ojciec chorych leczył
i mnie po twarzy głaskał.
Nie było czarnej na cmentarzu płyty
ni mnie poiła poezji cysterna,
choć rozumiałem zachód złotolicy.
Jeszczem wtedy nie spotkał się ze swoim losem.
Kochałem cyrk i Jules Verne'a.
Rosłem.

A później do nas przychodzili goście,
pomagałem krzątać się matce
lub wtuliwszy się w kąt otomany,
z lękiem i ciekawością
dłoń wyciągałem do książki w czerwonej okładce
i nagle rósł przede mną świat zaczarowany.

Nie rozumiałem dziwnych rzeczy,
które się w czarnych rzędach wierszy działy:
jakiś szaleniec czy upiór złorzeczył,
ksiądz gromił i dzieci płakały,
trzy świece się paliły, każda potem gasła,
upiór coś gadał do ciem i motyli,
zegar północ wybijał i na owo hasło
człowiek nóż wbijał w piersi
bełkocząc o jakiejś Maryli.

Nie rozumiałem — wszystko tajemnicze —
i te o życiu i o śmierci głosy.
Ale czułem, że ktoś mnie mocny porywa za włosy
i patrzy w moje oblicze.

Minęły lata śmierci i lata narodzin
i świat mnie wprzęgnął w krąg surowych ustaw.
Znam „godziny miłości" i setki „rozpaczy godzin"
i wiem, jak cierpiał Gustaw.

Umiem już czytać z hieroglifów liter
najzawilsze meandry serdecznych herezji,
sam próbuję zestawiać słowa rozmaite
i co dzień się kąpię w poezji.

A jednak wiem, że nigdy już, nigdy, niestety,
nie wróci tamta chwila pierwszych wtajemniczeń,
gdy chłopiec, urzeczony magią słów poety,
w zadumie chylił głowę swą nad Mickiewiczem.

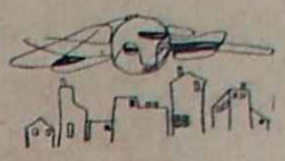

STANISŁAW CIESIELCZUK
(1906–1945)

* * *

Tutaj jest moja chata: cztery bielone ściany
i dwa niewielkie okna... Tutaj jest moja chata...
A tam zaczarowany, i znany i nieznany,
i wciąż inaczej nowy rozciąga się krąg świata.

Tu noc mnie ciszą wita i miękkość snu podkłada
pod rozmarzoną głowę... Tu noc mnie ciszą wita...
A tam, gdy tylko zagaśnie ostatnia gwiazda blada,
wzywa mnie chwila nowa i jeszcze nieprzeżyta.

I tak mi się rozdziela to wielce proste życie,
i tak się snuje naprzód nieuchwytnymi dniami...
I jakbym wszystko wiedział, wiedzący to w zachwycie:
że chata ma jest tutaj, a świat — za jej oknami.

ZDZISŁAW TADEUSZ POPOWSKI

Modlitwa

Modlę się smutnym wieczorem, co w ciszy klęczy za oknem,
o dary, których nie ma, których na pewno nie będzie,
o szczęście jakieś nieznane, minione bezpowrotnie,
jak oderwane godziny kolczastym czasu zębem.

Modlę się ciszą gwiazd złotych, rozpiętych w nieba powodzi,
o miłość bezimienną, bez słowa i bez treści,
o sławę jakąś inną, niż zdobywamy co dzień,
o życie, co się nigdy w mych piersiach nie pomieści.

Modlę się na różańcach smutków i tęsknot dalekich,
i dni radosnym świergotem, i nocy tajemnym dreszczem,
o słowa proste i dźwięczne, sercem jak dłutem wyryte,
o nigdy niewytarte prostokąty wierszy.

(„Gwiazdy w popiele", 1934)

MIECZYSŁAW KOSSOWSKI
(1892–1946)

* * *

Chciałem napisać do was wiersz, synkowie drodzy moi,
miała to być odbitka chwili, kiedy się w oczach dwoi

wam, moi chłopcy, z blasku świec, co na choince płoną,
a mnie od wichrów, które skądś z gwiazd czy też z pustki wioną.

Miało być w wierszu wszystko to, co aniołowie wiedzą,
gdy na gałązkach w włosach z szkła przy małych świeczkach siedzą,

co krasoludki w nocy wam opowiadają złudnie
i co się stanie znów za rok i wszystkie potem grudnie.

Miało być bajki tyle w tym, ile być tylko może,
gdy pierwsza gwiazdka w niebie tkwi i płonie drzewko boże.

I tak się nieraz w życiu mi przedziwnie plotą losy:
w wierszu zostały tylko te anielskie szklane włosy.

Wina nie moja, ale łez — podobne łzy człowiecze —
które padały cały czas z tych kolorowych świeczek.

Kiedy do siebie mówię, to i czas mój w wieczność leci,
żal mi, żem więcej nie mógł już napisać dla was, dzieci.

(„Chłód drogi" 1937)

WŁADYSŁAW PODSTAWKA
(1912–1942)

Koniczyna

Pole radosne poszumem, pole żyjące w śpiewie,
trudu wyzbyte i męki, w śnie zaplątane po pas!
W ukłon cię wiatr przygina i cicho blednie twój karmin.

To przecie u moich stóp wiosną pijana armia
klęka wpatrzona w ostrze. I widzi i słyszy — lecz nie wie:
— Przyszedł zwycięzca straszliwy z blaskiem narzędzia szalonym
— Witaj bezbronna gromado! Prężne i piękne legiony —
śmiercią dźwięczącą w tym ostrzu krótko pozdrawiam was!

Oprzeć o ziemię kosisko i krzepko stopy rozstawić.
Rozpruć zgrzytliwą osełką ciszę groźniejszą, niż śmierć.
— Sygnał wydałem do rzeki. — Wielki miłością oprawca
ruchem powolnym, odwiecznym, chowam osełkę chropawą,
zbieram się w sobie i chwytam zgiętą rękojeść za przegub.

Odmach na prawo i pierwszy zamach ramieniem przez pierś!
— Wrzynam się w rozpacz stojących, kosę główkami okrwawiam.
Hymnem strzelistym ulata tchnienie po ściętych dmuchawcach.
Huczy zagładą wokoło. Przestrach od brzegu do brzegu.
Kroczę w oślepłym triumfie. — Prawem dziś moja nieprawość!

(„Stopy w niewoli", 1936)

FRANCISZKA ARNSZTAJNOWA
(1865–1943)

Wiatr nocny na placu starej fary

O melancholio
zamarłych ulic!
Jak widma bezpowrotnie zaginionych godzin
na starym zegarze, co już przestał chodzić,

sędziwe domy stoją,
nieczułe na blask księżyca.
Na pustym placyku
wiatr szeleści po cichu
suchym listowiem.
To znów jak psotne chłopię
za rogiem się skuli,
dmie śmiechem, płaczem
i echem swarów pieniaczych
z ulicy,
gdzie ongi palestranci mieli swe siedlisko,

straszy
kamienną ciszę.
Teraz trącił
srebrną strunę miesiąca:
Pieśń o Ziemi Naszej!
Daremnie. Kamienica,
w której stała poety kołyska,
obróciwszy na zamek zastygłe źrenice —
nie słyszy
— nie odpowie.

BRONISŁAW LUDWIK MICHALSKI
(1903–1935)

Topielcy

Naśpiewajmy oczy kolorami:
seledynem i wilgotną tęczą —
dzień nas żegna tego stawu łzami
i na zachód idzie, bo się zmęczył.

Popłyniemy, rumiana dziewczyno,
popłyniemy bezszelestnym krajem
na spotkanie spiętrzonym obłokom,
zabłąkanym w wodzie Himalajom.

Może dłonie się skruszą, roztopią,
tak je smaga radość ścigania,
rozbijmy wiosłem na świat okno,
woda chętnie, jak wata pochłania.

Po co usta ma dzielić rozłąka?
Ciężar ciała pozostawmy w mule —
polecimy wichurą po łąkach
najczarowniej, najmięcej, najczulej...

Usiądziemy pod nocą wełnianą,
jak najcichszem i najlepszym drzewem
i będziemy przez dłonie uśpione
swoje serce jedwabne przelewać

w śpiewne rzeki poranków, wieczorów,
w piorunowe, przenikliwe błyski — —
zrozumiemy rudą rozpacz boru
w szarej trumnie, u nowej kołyski...

(„Spotkanie z brzozą", 1936)

Z LUBELSKICH POETÓW

TADEUSZ BOCHEŃSKI
(ur. 1895)

Wieczór podmiejski

Na księżycowej okarynie,
na wąziuteńkiej, na żółtawej
niebo by pewnie wygrać chciało
cudackie sprawy.

Lecz wieczór drętwy jest i szary,
a polem ludzkie chodzą smutki:
niebo ochotę utraciło,
księżyc mu z ręki zwisł cichutki.

ANTONI MADEJ
(ur. 1899)

Stokrotki jesienne

Wśród rdzawej traw zieleni,
gdzie zwiędłe mlecze i tymotki,
w późnych grudniowych dniach jesieni
kwitną stokrotki.

Piątego grudnia, dziesiątego,
choć mroźne, ostre jest powietrze,
i mija nawet piętnastego,
a one kwitną jeszcze.

Podziwu godzien jest kwiatek
w uporze trwania i kwitnięcia,
jakby nadziei wątły płatek
wśród cierpień i nieszczęścia.

Nad smętnym ziół i traw cmentarzem
płonie stokrotek biel samotna,
jak płoną blade więźniów twarze
wśród niemych na spacerze spotkań.

WACŁAW MROZOWSKI
(ur. 1912)

Kołysanka

Do wsi cwałem — polem — ułani —
polem dzwonią, hej, kąkolem w cwał,
malowani, hej, ułani malowani —
dzwoni kopyt tętent, dzwoni, dźwięczy.

Gdzie jesteście, dokąd, malowani?
jakim siołom was wicher gnał,
że tak cwałem, polem, cwałem w cwał?
gdzie się kończą za wsią łuki tęczy,
kopytami malowanych, karych koni,
hej, ułani, cwałem, polem, siołem,
dzwonią, tętnią, dołem, górą, dołem.

Za wsią cwałem, malowani ułani,
w tęczę wicher galop ten zwiał —
dokąd? dokąd? dokąd? malowani
polem cwałem i kąkolem w cwał?

Kopytami, chmurą, polem, górą,
gdzie skowronek podniebny dzwoni,
stanęli pośrodku tęczy
i poją bułane konie.

STEFAN WOLSKI

Żal

Jakże mi ciebie żal
wiosno, która odeszłaś,
I was — miesiące pierwsze letnie.
Nie widziałyście oczu szczęśliwych,
nie oddychałyście pogodą miłości,
nie spotykałyście ust rozkochanych...

Szukałyście nas wszędzie:
o godzinie pachnącej bzem
a potem — akacją i kwiatem lipy.
Napróżno...

Wyglądałyście nas na łąkach
dzwoniących słońcem i ciszą,
w lasach czekałyście na nas,
gdy świerki i sosny w rozkoszy
omdlałe, roniły żywicę
i po mchach z zielonego puchu
wędrowały w czerwonych kapturach
muchomory, krokusy i rydze.
W górach echo samotne
czekało na zboczach...
Już chyba nie umie powtórzyć
jak dawniej:
„kochany... kochany..."
Jakże mi was żal, miesiące...
Odeszłyście uboższe o jedną strunę,
której dwie dłonie razem
nie chciały
potrącić!

(Ze zbioru „Szedłem tędy)

STANISŁAW GRĘDZIŃSKI

Skazańcy

Z krańca ulicy przeraźliwie pustej
wychlusła
olbrzymia baszta
mnóstwo okienek nie może
otworzyć
ust
jakiż to dziwny klasztor

iluż tęskni w stęchłych suterynach
czemuż Bóg ich za próg wywabił
usta ranią na ostrych strunach
wątłe jabłka z różowego jedwabiu

rozdygotani czaili się po ulicach
pomagały im schorowane kochanki
jeżeli to zauważy policjant
natychmiast im nakłada kajdanki

idą za nim
nie narzekają
nie grożą
krzywda nam się mówią nie stanie
bo i tak nic się zdarzyć nie może

doprowadzili nas ostrożnie
po samą basztę
(jeden potknął się strażnik
o próg u bramy)
i w kącie długiej trumny
na końcu korytarza
zostawili nas wreszcie samych

o jak mądre jest prawo miasta
o jakże słodkie
kiedy klucze za drzwiami — różaniec gwiazd
swoją zwykłą zadzwonią melodię

w alejach ulic
jest coraz piękniej
tramwaje dają
publiczny koncert
i uśmiechają się śliczne panienki
bo teraz
wszędzie jest słońce

w rogu baszty
ukryty w cieniu
już nikogo nie trzeba się bać mi
o jakżem piękny w moim cierpieniu
ludzie
wszyscyśmy braćmi.

(„Parabole", 1926)

RYSZARD LISKOWACKI
(ur. 1934)

Do Krasnegostawu list otwarty

Nad rzeką ciemną, cichą rzeką
modlę się wierszem do swych marzeń..
tu drzewa gadać chcą z człowiekiem
a ptaki mają ludzkie twarze.

Roztopił łąkę słońca plaster
ale wciąż trawa pachnie deszczem —
jaskółki wiszą ponad miastem
jak w błękit powklejane wiersze.

A wiatr wychodzi tu na drogę
siennickie, wiejskie śpiewać pieśni.
Kominy dymią na pogodę
w mieście jabłoni i czereśni.

Wierzyłem twoim domom niskim,
zmierzchom zielonym, świtom złotym
więc cię maluję, miasto bliskie,
kolorem jasnym od tęsknoty.

Oto wyrasta wzwyż tęsknota
jak sosna na gorących piachach
więc niech w tym wierszu będzie chociaż
twej łąki lubinowy zapach

Na pewno piękniej ciebie żegnał
Czechowicz srebrno-złotym piórem
na sady twe przysięgam jednak
żegnał cię piękniej, lecz nie czulej.

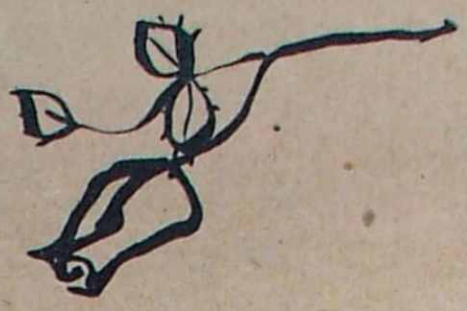

KONRAD BIELSKI
(ur. 1902)

Z wierszy o Kazimierzu

Ciągle się cofam wpół drogi,
Nic nie mogę doprowadzić do końca.
Za wiele jest tutaj kwiatów,
Za dużo słońca.

Nocą gwiazdy sypią się przez okno,
Księżyc przeciął szyby srebrną szpadą.
Małe domki w mgle błękitnej mokną.
Ludzie spać się wcześnie kładą.

Dzień cały noszę w sobie
Mnóstwo wierszy i fragment powieści.
Chciałbym to wszystko napisać
w tym małym mieście.

Lecz zaledwie tłoczyć się zaczną
asonanse i aliteracje —
Zawsze wtedy jest pora na obiad,
Lub na kolację.

A zapachy róż, bzu i jaśminu
Przenikają na przestrzal, na wylot
I akacji zdradliwe muśliny
Ponad głową kuszące się chylą.

Znowu chwytam za pióro, od rana,
I strefa jest pełna i bliska,
A tu nęcą zalewy wiślane
I urocze zamku rumowiska.

Małe ptaszki drą się wniebogłosy —
Jakżeż można pracować w tej wrzawie —
Przepióreczki uciekają w proso,
Milion świerszczów oszalało w trawie.

Łamię pióro. Wiatr zrywa firanki
I arkusze zapisane strzępi.
I już piję wonie macierzanki
W zwariowanej modrzewiowej kępie.

Zegar wiosny godziny odmierza,
Gdy dzień kończę słońcem przepalony,
W pastelowy wieczór Kazimierza
W ramionach żony.

WACŁAW GRALEWSKI
(ur. 1900)

Konie

Za chmurami, za gwiazdami rozdroża —
na rozdrożach łąka kwieci się boża.
Trzy księżyce, trzy sierpy — opale
rozsiewają kraśne światła — korale.

Białe cienie, czarne noce, migocą —
śnieżnych koni kare ślepia się złocą.
Mleczne harfy chichoczą tułacze —
czarne ręce rozpaczą w nich płaczą.

Najpierw jeden, potem tysiąc, miliony!
Uderzają podkowy, jak dzwony.
Siwe drogi rozhukane tętentem —
końskim potem pachniemy jak
świętem.

Nasze zjawy haftowane gwiazdami,
zielną trawą, rumiankiem, makami.
Wyszywane srebrnymi słońcami —
krwi gorącej znaczone kwiatami.

Ani stepy macierzanką pachnące,
rude gwiazdy, brązowe miesiące —
nic nie wstrzyma w potwornym nas
locie,
w bezgranicznej naszej końskiej
tęsknocie.

Tumanami przemkniemy, wiekami!
Zakwitniemy liliowymi sadami!
Tylko jesień za nami zostanie —
słońc rozbitych przepastne otchłanie.

HELENA PLATTA
(ur. 1908)

Słowo

Wiosnom powracającym
zmartwychwstaniom
płynnemu życiu
w szepcie łąk
błogosław.
Gdy złota dojrzałość — pełnią
choć przemiany idą nieodmiennie
żyjesz osobno:
czasem, jaskółką i kwiatem
myślą lub obłokiem
ludem lub ziemią...
Mówią tak:
Przyjdź pokojem związań
wszystko, co dąży
epoka, szukająca ratunku
na ziemi i niebie.
Pokonaj fałszywy krzyk —
symbol zagłady.
W godzinie próby
splęć wyciągnięte dłonie
pasmem słonecznych snopów —
dobrocią.
Zmień człowieka i narody
zmień los, przywleczony przeszłością
pasmem następstw —
mchem krzywd porosły —
porzuć słowo puste:
— znajdź siebie w innym
i prawdę na ustach.

HENRYK DOMIŃSKI (1913–1942)

Wspomnienie o Lublinie

Miasto, gdzie dzieciństwo wschodziło śmiertelnym zbożem,
namiotem murów opada w pachnące kosze łąk,
po starych, pustych ulicach, strącone lata rozwiozę —
miastu je podam do rąk!

W przedwieczerz wygasłe słońce skrzydła rozpina jak cietrzew
Bije o stopnie katedry krzyków dymiących grad,
stąd pomarszczonym zaułkom idę na przeciw,
młodość na barkach kołysząc, dźwignię 22 lat.

Do bram wilgotnych, do skamieniałej historii na prostokątnych tablicach,
niosę pielgrzymie kroki i rosnę spojrzeń goryczą,
wstrzymuję czas w dawnych napisach,
patrzę, milczę, liczę.

Ileż to razy, Lublinie, usypiając w obozie mgły,
harmonie z przedmieść obdartych
przeciągłą melodią szły
na okien czerwone warty?

Wcześniej jeszcze nim mogłem pamiętać, goniłem pociągów pęd,
przesuwając paciorki pejzaży za ciemnych tęsknot brwi.
Później w samotnym pokoju znieruchomiały, jak pręt
gałęm pod nawałnicą dni.

Ale, gdy księżyc, zdławiony więzień gwiazd,
długo się tarzał po polach, o litość błagając psy,
szedłem z dalekich miast
do ciebie, Lublinie, po sny!

Szedłem
wywoływać twe imię, ojcze, z kwitnących wrzosów na mogiłach,
aż wreszcie łuna porannych zórz
ciebie, księżyc i mnie wyzwoliła
od magnetycznych mórz.

JAN SZCZAWIEJ
(ur. 1906)

Spokój zimowego wieczoru

Spokojnie miesiąc lśni nad polem białym
wiatr cieszy się, że tak szeroko w zimie.
Cieszą się też, bo tu gdzieś zapodziałem
wśród śnieżnych pól twe ukochane imię.

Śnieg — biały ołtarz. Świece gwiazd się palą.
Za ciężkie były snać i z nieba spadły.
Klon w białej komży dymi modrą dalą
i taki cichy jest, jak mnich wybladły.

To nic, że kiedyś był radosny sierpień,
że ranki się jabłkami rumieniły,
to przecie takie szczęście z męki cierpień
na dalsze dni istnienia czerpać siły.

Słonecznych dni już nie żałuję wcale.
Wszystko, co było, tak daleko, tak daleko.
Może i lepiej to, że jesteś dalej,
że wszystko łza przesłania pod powieką.

Ostatni dzień, niby razową pajdę,
na drogę błysk nadziei jasnej poda,
Odejdę i imienia twego już nie znajdę —
zostaniesz ty i w rzekach siwa woda.

MARIA SZCZEPOWSKA

Chorągiew

Na dziobie czarnej fregaty w zachodzie mosiądzu
stałem
a wiatr mną, jak burą opończą, szamotał.
Gasły przede mną zorze i gwiazdy wstawały,
rejsem mi była tęsknota.

W żaglach, jak muszle wydętych, wiatr płakał i reją
chwiał.
Maszty ojczystych sosen stały nade mną,
a z głębin morza wynurzał się szkwał
i ciemność, ciemność, ciemność.

— Ojczyzno — myślałem — czy wrócę do twoich
chmurnych stron,
gdzie chciałbym kości swe złożyć i głowę siwą.
Smutek do nóg mi się łasił. Daleki był ląd
i długo płynąłem.

Załoga rzuciła w morze swój zwykły, wieczorny
śpiew.
Nie gwiazda. To myśl błysnęła: nie zdążę.
Widziałem: w szyderczych bałwanach podniosła śmierć
swoją piracką chorągiew.

MAREK ADAM JAWORSKI

Wisła w Kazimierzu

Tu nawet słońce przechyla się niżej
i spija wodę wiślaną. Tak lato
przemija — jakbyś słowo wyrzekł
niepostrzeżenie. A dzień tak bogato
dzieli się z tobą uśmiechem, zielenią
i coraz mniej go. Wśród wzgórz się rozpływa,
wśród drzew kwitnących, co pachną
przestrzenią —
jabłoni, gruszy... I tak dnia ubywa.

Pofruną ptaki. Rozżółci się jabłoń,
pokryje śliwa żałobnym fioletem.
Dojrzały owoc na ziemię opadnie
jak kwiaty białe, strącone już przedtem.

I tylko. Wisła tak samo popłynie,
odbije w lustrze swym słońce i błękit.
Tak samo w lecie, jesienią czy w zimie
zachwyci oczy spokojem i pięknem.

(ze zbioru „Wisła w Kazimierzu")

ZYGMUNT MIKULSKI

Moja mądrość

Każdy list mym kwiatom odpisuję,
z liściem dębu gwarzę, który wszystko wie.
Z brzegu śledzę bieg wioślarskich dwójek,
wiem, gdzie świeci słońce, wiem gdzie leży śnieg.

Każda pora roku mądrość swoją niesie —
swoje smyczki, cień swój, śmiech swój, księżyc
w chmurze.
Wiem: po lipcu sierpień. Wiem: po sierpniu wrzesień.
Wiem, jak róża pachnie i wiem, jak dwie róże.

Blisko — kroki cztery — i przepływam wszerz
(bliżej — oddech lata czuję na swej twarzy)
falę, którą płynie miasto i mój wiersz,
miasto moich fantastycznych marynarzy.

Gdy płynę na połów, mam deszczową sieć,
jak film wyświetlany złą aparaturą,
kiedy promień świeci, promień mogę mieć
— słońce rymujące jak zaklęte pióro

i piasek, co w słońcu złoci się i skrzy,
cień gałązki na piasku — dziwaczny ornament,
radość, przyjaźń, miłość — moje muzy trzy,
jak kobiety zmienne i zawsze te same.

Wciąż muzyka jedna i jednaki głos
żaglom ku radości — mej młodości żaglom.
Wspina się dziewczyna, ptaszek nuci coś —
świty srebru podobne, wieczory szmaragdom.

Kwiaty, deszcze, nuty. Moje niepokoje,
których śladu w pamięci niepamięć nie zatrze.
Książka się otwiera — wysokie podwoje —
dni, stronice, uśmiechy. I w uśmiechy patrzę.

Dojrzałość południ, spokój nocy letnich.
Ostry śmiech poranków krzyczących radośnie.
Tu księżyca słucham, jak grającej fletni.
Patrzę: dźwięk jest srebrny. Słucham: drzewo rośnie.

ANDRZEJ TCHÓRZEWSKI

ślad staromiejski

mrok się powoli wznosi
barw hamowany zator
dzień już opada z jasności
jak płatki z wiednących kwiatów

cisza zatacza koła
antyk łamie się na kamienicach
za godzinę za chwilę zawoła
zagubiony ślad czechowicza

STANISŁAW WEREMCZUK

Bezdroża

Jeżeli był kiedyś dzień — to minął,
jeżeli znałem ludzi — to odeszli
i nic teraz nie widzą w mieście,
nie ma tu dnia ani nocy,
nawet szum drzew w starym parku
powoli zamiera —
jakby i on chciał odejść.

Łażę po bruku i liczę okrągłe kamienie,
zapisuję czas na tablicach,
bym mógł odnaleźć chwilę,
z której wyszedłem,
bym błądząc doszedł do wsi
zgubionej w dzieciństwie.

Nie jest mi źle ni dobrze,
po prostu czekam,
jak na chleb w kolejce,
idę jak przechodzień,
sypiam i nadsłuchuję,
czy nie doleci mnie choćby jaki szelest,
liczę odlatujące jaskółki
i czekam.

STEFAN ZARĘBSKI

Rok ów

Ta ziemia jak ogród winny,
Ojczyzna świata i marzeń...
A przecież ku stronom innym
Śnią się bez przerwy wojaże.

Tam teraz złocistym snopem
Przybrane łany... Tak samo...
I Niemen... Pięknie bo Szopen
Grał wczoraj na fortepiano...

Żal znowu tłumiony wybuchł
Wspomnieniem — w tonacji moll:
I żarzy, żarzy się cybuch
W mieszkanku na Batignolles.

Spełniona oto i piosnka
Czarą ksiąg tamtych, dwunastu...
Nie! Tu atrament nie sprosta,
Potrzeba z żył inkaustu!...

I wojny — wszystkich o wszystkich! —
Marszu po orły i broń!
To mało — z barykad paryskich
Usłyszeć: „Vive la Pologne"!

Za często echem to imię
Pobrzmiewa poprzez Europę:
I tylko serca pielgrzymie
Przeszyje, targnie... Jak Szopen.

O sny za wczesne, za późne!
O lata, zbiegłe niemrawie,
Zabrane, rzucone w próżnię
Nieświętych, świętych półzbawień...

Klęsk wieku! Klątwą dziejową
O jakże szczodry zbiegom...
Niemocy straszna, gdy znowu
Utknęły fronty i legion!

O Litwo, któraś jak zdrowie,
Jest-li twe przyjście bliskie?...
O roku ów!...
I spod powiek
Łzy płyną czyste, rzęsiste...

JÓZEF WIESŁAW ZIĘBA

Markowi

Starszy strzelec AK, Marek konał pięć dni w janowskich lasach.

Marku, łamią się słowa na spieczonych
[wargach
tylko sosna i kawałek nieba z gwiazdą
i ciszą przepełnioną w śmierć.

Dzieciaku porzucony w lesie,
nie trzeba więcej odchodzić, uciekać
bo świat jak fałszywy bączek
wykrywa
trzy, lub sześć.

O tym się pieśni nie śpiewa,
że powolutku umierać źle.

Mareczku, tak zostawać w lesie
jak ostatni promień,
jak nieodczytany szelest? —

Mareczku, nie wierz tym pieśniom,
nie wierz,
bo świat jak fałszywy bączek
wykrywa sześć, lub trzy,
a ty przejdziesz przemieniony w szelest.

Może cię jakaś w wierzbie,
lub sośnie piosenka powtórzy,
ale ty nie wierz,
piosenkom tym nie wierz.

JERZY KSIĘSKI

Święci Nikifora

Kiedyś, przy bardzo brzydkiej pogodzie
Okruchy gwiezdne wiatr rzucał
[w chmurach,
Bo przecież wszystko zdarzyć się może,
A więc zrobiła się w niebie dziura.

Wtedy przeleźli przez ową dziurę
Ewangieliści czterej niebiescy.
Każdy z nich dziadem był i był królem...
No i na ziemię po rynnach zeszli.

Najpierw wypili po piwie w kiosku
Kufle jak serca dzwonów stuknęły,
A potem — widać za wolą boską
Łazili drobnym kroczkiem po ziemi.

Gdzieś tam znaleźli zieloną balię.
Więc ją zapchnęli na wodę z piasku.
Łukasz przy sobie kart miał dwie talie —
Takie ze świętych obrazków.

Zdjął aureolę złotą Mateusz,
Tak rzecze rozdając karty:
— Chciałbym różowy włożyć kapelusz,
Albo brązowy chciażby.

Płynęła balia po srebrnej wodzie,
Guzik pod szyją Jan odpiął
I w zamyśleniu po ryżej brodzie
Drapał różową szczotką.

A Marek brzegiem paliowej szaty
Otarł dyskretnie pot z czoła
I nic nie mówiąc wciąż patrzył w karty
I oczywiście filował.

Byli radośni i uśmiechnięci,
Bużkę jak księżyc miał każdy,
Bo tacy przecież bywają święci,
Gdy w balii grają w karty.

JAN NAGRABIECKI

Ziemio

Janowi Parandowskiemu

Ziemio koloru zielonego
koloru porywistych obłoków
ziemio dymiących traw
palących się kości pni borów
ziemio sowiooka
ziemio sypiących się barw
żarzących się jesienią barw
sypiących się na życie
jak liście miedziane
na chodniki

Ziemio milknącej symfonii
która roztacza swoje krużganki
wije doryckie kolumny
fontanny deszczu
mieniące się w pawi ogon
ziemio wielkanocna pisanko
ziemio połykająca rozumy
ziemio ziemio kto wie
jaka jeszcze

Ziemio moja kolebko
mój fundamencie
moja trumno
mój pokarmie
przemijanie wieków
płonący okręcie
ziemio na czterech kolumnach
czterech stron świata.

EDWARD STACHURA

Róża

W ogrodzie nocą chochoł to król
a narzeczona jego magiczna
o łaskę króla ją pielęgnować

a mnie to już nikt dawno tak bardzo
dawno tak bardzo już nikt
nie pielęgnował

czy ja jestem blacha albo tygrys
że mnie to już nikt dawno tak bardzo
nie pielęgnował

albo to ja mam sklep korzenny sklepik
żebym się sam niedziela po niedzieli
pod ladą pielęgnował

W ogrodzie nocą chochoł to król
a narzeczona jego magiczna
to może tak jutro magicznie nowina

o łaskę króla że mnie pielęgnować

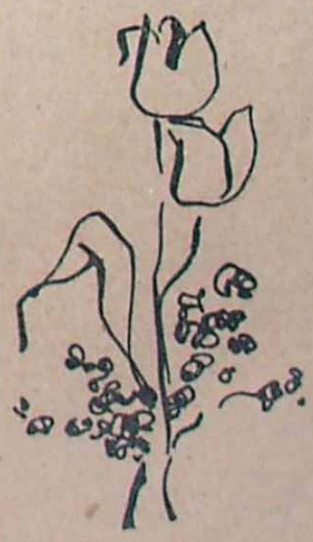

Jak mówić wiersze?

JULIAN PRZYBOŚ

Poezja jest to mowa wzruszona i wzruszająca. Liryk to człowiek wzruszony i równocześnie w tej chwili wzruszenia chcący wzruszać innych. Poezja jest mową człowieka tak wzruszonego, że opanowawszy swoje wzruszenie słowem, potrafi wzmóc je o przyjemność, jaką niesie wiązanie słów. Utwór poetycki niesie zawsze dwa ładunki uczuciowe: wzruszenie, które jest przeżyciem „życiowym" poety (to, co stanowi jego zawartość treściową) i uczucie radości estetycznej. Tę radość wywołuje uzmysłowienie sobie sposobów, jakimi wyrażono uczucie. Przyjemność, jaką darzy forma wiersza, towarzyszy wyrażeniu jakichkolwiek, a więc i negatywnych uczuć. Dlatego to wiersz o treści nawet najsmutniejszej daje radość, krzepi.

Sądzę, że istota liryki tkwi w tej bardzo trudnej do osiągnięcia równowadze między wzruszeniem a umiejętną wolą przekazania tego wzruszenia. Przeżycie autora musi być tak istotnie szczere i niezatarte, by nie zatraciło swojej świeżości, konkretności i prawdy, mimo to, że w poemacie panuje nad nim chęć jego ujawnienia przez poetycki wyraz. Poeta naiwny (i naiwny recytator) daje się ponosić swoim efektom, które uznaje — przedwcześnie i złudnie — za poezję samą, wierzy, że jeśli on czuje, to wystarczy, żeby podniósł lub ściszył głos, a wzruszać będzie innych. Oschły poeta-estetyk zlekceważy przeżycie, położy nacisk na formę przekazu słownego i utożsami lirykę z grą słów. I poeta naiwny i poeta esteta — obaj oddalają się od liryzmu.

Jakie stąd wnioski dla recytatora? Mówiący wiersz musi powiedzieć wszystko wiersza, a więc zarówno to wzruszenie jedyne, konkretne, przeżyte przez poetę, które było u poczęcia wiersza, jak i to wszystko, co stanowi, iż do czynienia mamy z poematem, a nie z bezpośrednim wyznaniem, spowiedzią.

Nic tak nie drażni i nie irytuje, jak recytator pragnący „chwycić za serce" słuchacza, nastroić go na jakiś ton uczuciowy, który, jak mu się zdaje, jest zamknięty w wierszu. Recytator naiwny, tak jak poeta naiwny, pragnie bezpośrednio „przelać" uczucie w serce słuchacza. Ten naiwny naturalizm zapoznaje sztukę poetycką, recytator traktuje poemat jak libretto, do którego dopisuje „muzykę" swego głosu: piano, forte, tremolo i maestoso. Krańcowym objawem tego rodzaju złego smaku jest naśladownictwo głosów przyrody, onomatopeizowanie słowa. Recytator każdy „szelest" — językiem szeleści, „grom" ryczy głosem, w którym r grrrucha wielokrotnie, żal w ustach naiwnego naśladowcy zawsze musi wzdłużyć się w głosie i omdlewać, a cisza być cichutka, pianissimo.

A mówiący wiersz powinien — powtarzam — powiedzieć wszystko wiersza. Powód wiersza, owo uczucie życiowe — żyje o tyle tylko, o ile wywołuje je wizja poetycka; uczucie musi poruszyć wyobraźnię poety, aby znalazło wyraz, a więc i wyobraźnię odbiorcy. Dopiero wzruszona wyobraźnia poety kształtuje materię słowa i formuje ją w tak wyraziste i wymowne kształty mowy, że ta mowa poetycka wzrusza słuchacza i czytelnika. Wzrusza wizja, wprawia w ruch wyobraźnię odbiorcy, i poprzez ruch wyobraźni — wywołuje zarówno powód wiersza: owo pierwiastkowe wzruszenie życiowe, jak i radość z trafności i urody obrazu poetyckiego. Istnieje ścisła więź i ścisła zależność tych składników poematu. Uczucie liryczne jest funkcją obrazu poetyckiego, a obraz czerpie swój materiał z konkretnego wzruszenia. Naturalność i sztuczność splatają się w wierszu w to, co zowiemy „poezją".

Należy więc w recytacji uwydatnić tę „sztuczność" tj. sztukę poetycką. Nie po to dobiera poeta rymy, by je recytator zacierał i czynił niesłyszalnymi, nie po to biegnie — jak dreszcz — przez organizm poematu rytm, żeby go zatracić w mówieniu. Ile razy słyszę aktorów zacierających na scenie wiersz, silących się na mówienie mowy wiązanej tak, jak się mówi prozę, nie mogę się nadziwić złośliwej przekorze czy perwersji takiego traktowania wiersza. Rozwiązywanie wiersza w prozę można — sądzą niektórzy — uważać za usprawiedliwione do pewnego stopnia w sztukach teatralnych — lecz w liryce? Mówienie wiersza lirycznego prozą jest jawnym i zuchwałym gwałtem nad językiem. Jest to tak, jakby ktoś jednym palcem stukał na fortepianie symfonię.

Sposób mówienia wiersza zależny bywał od kultury uczuć, od stylu życia towarzyskiego. W epoce dworskiej ostentacji i zabawy, komplementy pod adresem dam serca śpiewano. Zwycięskie mieszczaństwo lubowało się w pompatycznej retoryce romantycznej. Starzy pamiętają jeszcze styl schyłkowców z końca ubiegłego wieku. Nie wygłaszano wtedy wiersza, lecz szeptano, akcentując sylaby tak, żeby stwarzały nastrój, ze słów robiono „okno na nieskończoność". Futuryzm, nawołujący do poezji jarmarcznej, ekscentrycznej, próbował parodystycznych sposobów recytacji: pojedyncze słowa już to wykrzykiwano, odrywając je od związków gramatycznych, już to terkotano mechanicznie, naśladując rytm maszyny.

Dla poezji Majakowskiego, pisanej dla tłumów, głos ludzki, sam, niewzmożony nie wystarcza — zdania układał Majakowski dla gigantofonu. Majakowski jest też w dziejach współczesnej poezji — układanej głównie dla czytelnika — niezwykłym okazem poety piszącego tylko dla słuchacza. Forma wiersza u dojrzałego Majakowskiego wynika też z tego postulatu mowy do mas. Charakterystyczne mówione „schodki" wierszowe oznaczają frazy i pauzy. Jaskrawe obrazy wymagają ust spotężniałych przez głośniki; patos i groteska, hiperbola i wiecowe okrzyki — wtedy dopiero okazują się w całej swojej obszerności. Wtedy dopiero poezja ta działa całym swoim rozmachem retorycznym.

Poezja współczesna bywa też mową maksymalnej zwartości, mową syntetycznych skrótów. Elementy prozy: opis i opowiadanie zostały w niej zredukowane do minimum lub zupełnie usunięte. Jak mówić wiersz nowoczesny, by uwydatnić jego piękno i by wzruszyć słuchacza? Stare sposoby ustawienia głosu na ton liryczno-patetyczny — nic tu nie pomogą, lecz popsują. Recytator powinien uwydatnić to, co na pozór jest nie do wygłoszenia: skróty, elipsy, powinien uwydatnić zwartość obrazu. Winien głosem uwyraźnić więź słów, konstrukcję, składnię zdania, za pomocą której poeta wprawia w ruch wyobraźnię słuchacza. Jak to uczynić? Sądzę, że w recytacji nowoczesnej poezji równie ważną rolę pełni głos, co jego brak — pauza. Sztuka utrzymania i wytrzymania właściwych pauz — oto pierwszy warunek nowej recytacji, w której milczenie winno być złotem — lecz i mowa — złotem.

Zamilknięcie i pauza głosowa — to nie tylko zwykły brak słowa, pauzę i jej wymowę określa nie tylko czas jej trwania, ale i intensywność i rodzaj słów, które sobą oddziela. Umiejętność głosowego oddzielania i wyodrębniania rytmu obrazów — to najpierwsza sprawa. Pauzy są nieodzowne, by dać czas słuchaczowi, zwłaszcza nieosłuchanemu, na utworzenie się w jego wyobraźni zrostów słów: widzeń. Być może przydałyby się tu badania eksperymentalne, które by ukazały, jak długo ma trwać pauza potrzebna do utworzenia się stosownych obrazów poematu. Być może, że w zależności od środowiska konsumentów poezji — coraz to inne pauzy byłyby konieczne dla pełnego przyjęcia nowoczesnej poezji. Odpowiadając na imperatyw zwartości utworu — recytator winien być precyzyjny, rzeczowy, winien ujawniać urodę zdań — wizyj, winien wydobyć z każdego utworu właściwy utworowi jedyny rytm, asonanse i współdźwięczności winny brzmieć tak wyraziście, jak tego życzył sobie poeta. A życzenie poety skierowane do recytatora nie trudno odgadnąć: by mówił tak, jak mówi człowiek wzruszony, gdy mówiąc opanowuje wzruszenie. Opanowuje po to, by jego szczerość przekazać w słowach pełnych precyzji. W możliwie najmniejszej ilości słów.

(„Najmniej słów")

W HORYZONCIE NOSTALGII

ZBIGNIEW PĘDZIŃSKI

Wśród uczuć przenikających dawną i współczesną literaturę tworzoną poza granicami Polski, kształtujących genezę wielu powieści, dramatów, a przede wszystkim utworów lirycznych, nostalgia zajmuje niewątpliwie miejsce uprzywilejowane. Debiut*) Józefy Radzymińskiej, pisarki emigracyjnej, lecz publikującej swą pierwszą powieść w kraju, gorzką tę prawdę potwierdza i nasyca smutnym, lecz niekłamanym autentyzmem. Bohaterowie i sprawy „Spojrzenia na brzeg" obracają się bowiem w horyzoncie nostalgii siłą osobistych doświadczeń młodej autorki, nam — mało znanych, nieledwie egzotycznych, jej i tysiącom, setkom tysięcy mieszkańców obozów dla uchodźców wojennych, rozsianych po całej Europie zachodniej — zbyt dobrze wiadomych, ciążących nad losem licznych, nie tylko polskich emigrantów, na kształt antycznego fatum. Próby przełamania owego fatum, rzadko zresztą kończące się sukcesem, częściej katastrofą — to właściwie cała treść „Spojrzenia na brzeg", wyróżnionego chyba właśnie dla swej oryginalnej, autentycznej fabuły czwartą nagrodą na licznie obesłanym przez niezłe, współczesne powieści konkursie Wydawnictwa Łódzkiego.

Świeże, autentyczne, po części — autobiograficzne przeżycia podbudowują, jak wiadomo, najchętniej surowsze, przede wszystkim faktograficzne formuły prozatorskiej wypowiedzi: reportaż, dziennik przeżyć, silniej retrospektywny pamiętnik. Walorem, już rdzennie literackim „Spojrzenia na brzeg" jest wcale dobrze opanowana, nie przestylizowana, nie wymuszona kompozycja i narracja powieści — tak ulubionej przez międzywojenne autorki powieści środowiskowej. Losy bohaterów koncentrujące się przez większą, zresztą najmocniejszą, część książki w obozie dla uchodźców znakomicie materializują i przybliżają do czytelnika, zwłaszcza w kraju, ową nostalgiczną, zmęczoną a zarazem naprężoną do granic wytrzymałości ludzkich nerwów atmosferę, jaka wyróżnia już od czasów Wielkiej Emigracji polską literaturę powstałą poza granicami ojczyzny. Iście kobieca wrażliwość i uczuciowość autorki subtelnie podmalowuje romantyczne, miłosne tło równie ludzkich jak polskich, konfliktów i dramatów „Spojrzenia na brzeg", odznaczającego się dużą przenikliwością w rysowaniu wszystkich pochodnych nostalgii, działających na serce i psychikę Polaków i Polek na podobieństwo mikrobów zawsze tej samej, ale różnie objawiającej się choroby. A lekarstwem na nią może być tylko decyzja Magdaleny ze „Spojrzenia na brzeg": jej powrót do kraju, zamykający książkę słowami: „Patrz, to Polska"...

Mimo swych walorów treściowych i artystycznych „Spojrzenie na brzeg" jest jednak pierwszą książką Józefy Radzymińskiej, dźwigającą na sobie niektóre obciążenia, typowe dla powieściowych debiutów. Zresztą pewne stylistyczne usterki, dłużyzny kompozycyjne oraz wadzące tu i tam przerysowania emocjonalnej warstwy powieści w stronę sentymentalizmu i melodramatu mogły zostać usunięte przez bardziej troskliwą i sumienną redakcję tekstu, której jednak, jak i innym konkursowym utworom, poskąpiło „Spojrzeniu na brzeg" Wydawnictwo Łódzkie. Te mankamenty nie potrafią jednak przesłonić i umniejszyć faktu, że młodej prozie polskiej przybył talent świeży i autentyczny, oby nie ograniczający własnych możliwości i perspektyw do cennego wprawdzie dla „Spojrzenia na brzeg", lecz chyba przyciasnego dla dalszych książek Józefy Radzymińskiej horyzontu nostalgii...

*) *Józefa Radzymińska: Spojrzenie na brzeg, Łódź 1959, Wyd. Łódzkie, s. 161, 1 nlb.*

MIĘDZY DAWNYMI I NOWYMI LATY

(Dokończenie ze str. 4)

planu tak dla samej Lubelszczyzny, jak dla jej udziału w obchodach krajowych.

Nie są uwzględnione szerzej sprawy kultury, oświaty, literatury, nauki, która na Lubelszczyźnie stworzyła duży wkład w kulturę całego kraju (mamy tradycje począwszy chyba od Mikołaja z Lublina, Biernata z Lublina...).

Poważnym mankamentem, jak się wydaje, jest także dotychczasowe zaniedbanie sprawy XX-lecia Polski Ludowej oraz dalszych perspektyw jej rozwoju — biorąc rzecz ogólnie i w odniesieniu do samej Lubelszczyzny. Należy wziąć te problemy już pod uwagę przynajmniej w głównych zarysach — i uzupełniać następnie w miarę zbliżania się do tych zagadnień. Do tego wszak sprowadza się sens Tysiąclecia — do przerzucenia pomostu łączącego historię i czasy dzisiejsze.

Zastanawiające jest także milczenie naszej prasy wokół zagadnień Millenium, podczas gdy powinny się one stać obecnie jedną z zasadniczych dziedzin jej zainteresowania. Jak postuluje prof. Mencel, w naszych dziennikach powinny istnieć codzienne rubryki upowszechniające wszystkie podstawowe treści Tysiąclecia.

Jedynym właściwie popularnym i powszechnym dziś hasłem Tysiąclecia jest rzucone przez Władysława Gomułkę „1000 szkół..." Znalazło ono oddźwięk w całym społeczeństwie i można się na tym przykładzie uczyć dobrego wykorzystania tradycji dla współczesności. Nasze województwo, które aktywnie uczestniczy w budowie szkół, ma poza tym szereg innych ważnych potrzeb i nie wykorzystanych możliwości. Z całą pewnością umiejętne ich poddanie społeczeństwu, wykorzystanie emocjonalnych walorów Tysiąclecia — spotkałoby się z pełnym poparciem ludności naszego regionu i pomogłoby w dużej mierze do podniesienia u nas poziomu życia.

Trzeba w tym miejscu poruszyć jeszcze sprawę finansowego zabezpieczenia prowadzonych w związku z Millenium prac naukowych oraz pełnego wykorzystania możliwości rozwojowych Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej, która ma wprawdzie w planie kilka łączących się z nim pozycji, ale znacznie mogłaby rozwinąć swoją działalność, gdyby otrzymała wreszcie stałą koncesję.

Millenium szeroko popularyzowane, wywierając wpływ na świadomość społeczną ludności regionu, przyczyni się do jej pełniejszego udziału w dziele budowy nowego życia. Mamy nadzieję, że możliwości, jakie niesie ze sobą Tysiąclecie, zostaną wzięte należycie pod uwagę. Pamiętajmy jednak, iż czas toczy się dziś w zawrotnym tempie i w pewnym momencie można stwierdzić, że przebiegł obok nas, że zostaliśmy za nim w tyle. Nie wolno do tego dopuścić.

Włodzimierz Wójcikowski

Ucieczka z marginesu życia

BOHDAN KRÓLIKOWSKI

Drugą nagrodę w konkursie powieściowym Wydawnictwa Łódzkiego otrzymał Leon Gomolicki za utwór pt. „Ucieczka". *) Nie jest to książka z rzędu tych, które szybko i łatwo się „połyka", a jeszcze szybciej zapomina. „Ucieczka" nie jest łatwa w czytaniu, raczej przeciwnie. Ładunek myśli w niej zawarty trzeba przetrawić, wiele rzeczy przemyśleć, przedyskutować — niektóre może i odrzucić.

Konstrukcja powieści jest niecodzienna. Zasadniczy tok narracji, obej-

(Dokończenie na str. 12)

Petrarka

Z MIŁOŚCI

ŚPIEWAK LAURY

CZY Laura istniała? Już współcześni Petrarki egzystencję jej podawali w wątpliwość. Przyjaciel poety, biskup Jakób Colonna uczynił to nawet tonem dosyć żartobliwym. Petrarca za to odpowiedział mu z całą powagą: „Cóż mi mówisz? Że zmyśliłem sobie wdzięczną postać Laury, bym i ja miał o kim mówić, i żeby o mnie z powodu niej tak szeroko mówiono, a naprawdę w duszy mej Laura jest niczym, chyba tym laurem poetyckim, do którego wzdycham, jak o tym świadczy moja wieloletnia, niemordowana praca. A więc w tej żywej Laurze, której postać rzekomo mnie urzekła, wszystko jest kunsztem — pieśni zmyślone, udane westchnienia? Byle by tylko tak daleko sięgał twój żart! Byle by tu szło tylko o udawanie, a nie szaleństwo! Lecz wierz mi: nikt bez wielkiego wysiłku nie może długo udawać, a wysilać się po to, by uchodzić za szaleńca, to doprawdy szczyt szaleństwa. Dodaj, że potrafimy w dobrym zdowiu gestami udawać chorobę, ale prawdziwej bladości udać nie możemy. A tobie znane są moje cierpienia i moja bladość. Uważaj więc, byś swym żartem sokratycznym nie ubliżył mej chorobie."

Na cennej pamiątce rodzinnej, wspaniałym kodeksie, odziedziczonym po ojcu-juryście, Francesco Petrarca zapisał chyba tylko z potrzeby serca, nie na użytek biografów ani potomnych — zwięzłą historię swej miłości zaczynającą się od słynnych słów: „Laurea własnymi cnotami słynąca i długo sławiona mo mi pieśniami po raz pierwszy objawiła się moim oczom w zaraniu mojej młodości w RP 1327, rankiem 6-go kwietnia w kościele świętej Klary w Awinionie..."

Benedetto sia'l giorno...

Błogosławiony niechaj ów dzień będzie,
Czas, miejsce, chwila, miesiąc i rok cały,
Gdy mnie poraził na zawsze i wszędzie
Blask dwojga oczu, które mnie spętały... *)

W owym błogosławionym czasie Petrarca nie skończył jeszcze dwudziestu trzech lat i był młodym elegantem, jak sam pisze, „posłusznym raczej nakazom mody niż skromności i cnoty". Za przykładem awinońskiej złotej młodzieży chadzał w sukni po kostki, ściśniętej pasem, w almuzji, czyli pelerynie z kapiszonem, w opończy o szerokich rękawach, w kapeluszku na bakier, zdobnym kwiatami, piórami, perłami; a nawet dzwoneczkami. Długie włosy miał misternie utrefione i — jak wyznaje — fryzura ta wymagała niemało czasu i zabiegów. Zauważmy, że dziś Petrarca chodziłby zapewne w wąskich spodniach, kusym płaszczyku, z włosami obciętymi na „głupiego Jasia", a za to z bujną brodą — tak bowiem nakazuje młodym poetom moda anno domini 1960...

Jak wyglądała ta, której Petrarca w hołdzie całego życia złożyć miał 317 sonetów, nieomal trzydzieści pieśni, ileś tam sestyn, ballad i madrygałów? Niepewni istnienia Laury, nie wiemy też, jaka była jej postać. Na podstawie wizerunków i obrazów z epoki możemy wyobrazić sobie z dużym prawdopodobieństwem jej strój: wielki kapelusz lub rodzaj noszonego wówczas mauretańskiego turbanu, obfite fałdy szaty, haftowaną złotem rękawiczkę, co — uroniona — stała się skarbem kochanka. Jakie miała oczy, rysy, postać? Nie zachował się żaden jej autentyczny wizerunek, a i „Canzoniere" niewiele nam mówi o powierzchowności Laury: Petrarca „poprzestaje na tużnych napomknieniach, rwanej linii konturu i ledwo zaznaczonej barwie: tu pierś jeszcze dziewczęca, tam smukłe palce, ówdzie zaróżowione policzki, jasność włosów, blask oka".

Obraz już nie całkiem konwencjonalny, umowny, alegoryczny, jak w poezji schyłku średniowiecza, ale jeszcze wyidealizowany — podobny tym, które wychodziły spod pędzla ulubionego mistrza Petrarki, Simone Martini. Jak Sieneńczycy nieśmiało wyłamywali się ze sztywnej hieratyczności bizantyjskich Madonn, tak Petrarca kreśląc podobiznę Laury przesłania dyskretnie jej realną postać deszczem róż, pereł i gwiazd:

Twarz — śnieg gorący, włosy — czyste złoto,
Rzęsy jak heban, oczy zaś — dwie gwiazdy,
Skąd miłość wszystkich celnie rani oto.
Perły — zęby, a róże purpurowe —
Wargi, w których brzmiał bólem wyraz każdy;
Westchnienie — płomień, łzy — kryształ u powiek.

Za tą poetycką przesłoną rysuje się zwiewna postać i ruchy, bije serce — nie Laury samej, serce poety, który przez dwadzieścia lat za życia Laury, a potem, po jej śmierci, analizuje swe uczucia do tej, którą w marzeniu tylko nazwać mógł swoją (bo wedle wszelkich danych Laura wyszła szczęśliwie za mąż i była matką licznego potomstwa).

Poezja jest nieprzetłumaczalna. Zwłaszcza poezja dawnych epok. Zwłaszcza poezja włoska. Jak z porównań, wytartych przez wieki naśladownictwa i przez tłum epigonów — dobyć i wydestylować ten urok nowości i świeżości, jak'm tchnęła poezja Petrarki dla jego współczesnych? Jak oddać w innym języku nieporównaną pieściwość i melodyjność mowy toskańskiej? Jak przekazać subtelne igraszki dźwięków, gdy imię ukochanej kojarzy się poecie z wawrzynem — „lauro", miłym powiewem — „l'auro soave", złotem włosów —„l'aureo crine"?..

Więc może po prostu warto nauczyć się po włosku, by w jedynie wiernym oryginale wsłuchać się w głos śpiewaka, który — kto wie, czy istniejącej — kochance potrafi wznieść najtrwalszy z pomników danych człowiekowi — pomnik ze słów, serca i wyobraźni?...

AMA

*) *Sonety Petrarki cytuję w przekładzie Jalu Kurka, fakty z jego życia — podaję na podstawie „Petrarki" J. Parandowskiego oraz wstępu do „Sonetów" pióra M. Brahmera, PIW 1955 r.*

Laura. Jeden z imaginacyjnych portretów

Która jest jak oliwa na wodę

EDWARD STACHURA

Na początku chciałem powiedzieć, że każdy ma prawo. Do czegoś. Rzeźnik do wołu. Członek chóru do kantyleny na niedzielę dzisiejszą. Szewc do podeszwy. Lew do wodopoju. Rzeka do morza. A ja do ciebie. Ale mimo to jest inne prawo, tak myślę.

Będąc jeszcze w dziesiątej klasie miałem zostać fizykiem jądrowym. Po lekcjach zostawałem w pracowni i robiłem doświadczenia. Mierzyłem, ważyłem, sprawdzałem, mieszałem. Rozwiązywałem zadania na olimpiady fizyczne i matematyczne. Mój profesor fizyki był fanatykiem. Dużo z niego przeszło na mnie. To mi pozostało. Chyba tylko to. Mój profesor mówił, że wyrosną ze mnie ludzie. Ojciec też się radował: „— Osiem lat miałem i już w konie jeździłem. Jak miałem trzynaście lat, młóciłem razem z chłopami. Cepy musiały chodzić jak maszyna, jak zegarek. Jak miałem osiemnaście lat, wyjechałem z Polski. Do Francji. Miałem chleb, chciałem bułki. Poszedłem do kopalni. Dziewięć lat w kopalni, ty wiesz co to jest? Korytarze we Francji są bardzo niskie. Nie tak jak u nas. Trzeba było rąbać leżąc na plecach. Ile razy jak tak leżałem, przeklinałem na czym świat stoi i chciałem, żeby to wszystko się na mnie zapadło. Potem wyjechaliśmy z mamusią na południe. Tam znowu pracowałem. Dwadzieścia lat u „Gramonta". Całe swoje życie pracowałem. Jak wół. Teraz wróciliśmy do Polski i tak samo. Nie mam szkoły. A ty masz szkołę, to się ucz, mój chłopcze, żebyć miał lepsze życie, żebyś nie musiał tak jak ja". Radował się mój ojciec. Bardzo się radował. Kochany!

W jedenastej klasie mnie naszło. Wtedy właśnie mój ojciec przestał się cieszyć. Zacząłem zaniedbywać fizykę. Wszystkie inne przedmioty. Wszystko inne nużyło mnie szybko, jeśli nie nudziło jeszcze prędzej. Co się z nim dzieje? Taki zdolny chłopiec!" Polubiłem teraz samotność. Polubiłem milczenie. Wkrótce uciekłem z domu. Mój ojciec musiał chyba płakać wtedy. Ja też chciałem płakać, kiedy pisałem pożegnalny list, ale uznałem, że to niegodnie mnie, mężczyzny, Kolumba, mnie. Później, kiedy niejednokrotnie chciałem płakać wiedząc, że sprawi mi to ulgę, łzy jak małe łaski pochowane w swych norach lękały się wyjść, chociaż myśliwy dawno już odszedł, chociaż już dawno odszedłem.

Gdybym chciał opisywać co działo się ze mną w ciągu tych wszystkich następnych dni, a przede wszystkim nocy, to może bym się rozpłakał. Chyba rozpłakałbym się. Chyba na pewno. Mówię: — „przede wszystkim nocy", bo tak już jest, że nie mogę się odzwyczaić od pisania i od nocy, i od pisania nocą. Ile było pisania? Ile było nocy? Dużo tego było! Może nie najwięcej, ale dość dużo. Dość bardzo dużo. Dlatego myślę, że mam prawo o tym pisać. Tak myślę.

Ale jak o tym pisać? Wszystko się tutaj tak dziwnie odprawia, że nie wiadomo, kiedy są obcęgi, a kiedy w dłonie bierzesz mój płonący łeb. Napisałem pierwszy wiersz i pomyślałem sobie, że jest to najpiękniejszy wiersz świata. Po każdym wierszu tak myślę. Napisałem więc pierwszy wiersz i zaniosłem go profesorowi — poloniście. Powiedział, że on też w tym wieku, każdy prawie w tym wieku pisze wiersze, ale to przejdzie. Tak mi powiedział. Ale mnie jakoś nie przeszło. Czasami, to ja się nawet modlę do swojego fiola. I nic. Nie przechodzi. Mój pierwszy wiersz mówił o pracy pająka. Pamiętam go, jak wszystko to, co napisałem. Ostatnia strofa brzmiała:

A gdy nić sieć uplotła
i po trudzie spoczął pająk,
wszystko, o nic nie dbając,
zniszczyła głupia miotła.

Myślałem wtedy, że to jest najpiękniejszy wiersz świata i że mój profesor jest głupi. Teraz kiedy patrzę na ten wiersz już tak nie myślę ale myślę ciągle, że mój profesor był jednak głupi. Pisałem dalej. Najwięcej o księżycu. Porównywałem go do monety, do bochenka chleba, do oka, guzika, broszki, piłki, kosy sierpa, owocu dyni, lampy Aladyna i do wielu innych rzeczy. Kiedy później czytałem wiersze innych poetów i znajdowałem podobne porównania, byłem bardzo na nich zły, na tych poetów. Zawsze myślałem, że to oni mi ukradli te porównania, a nie ja im. Nie chciałem uwierzyć, że to przecież niemożliwe, bo oni żyli wcześniej, niektórzy dużo wcześniej, ale nawet ci, którzy jeszcze żyli, nie mogli wiedzieć, że ja to już napisałem, no bo skąd, nie drukowałem nigdzie, ani mój profesor — polonista, któremu jeszcze jakiś czas przynosiłem wiersze, nie mógł znać wszystkich poetów i mówić im, że ja już tak napisałem. Teraz tak samo, kiedy znajduję u jakiegoś poety coś podobnego, myślę tak samo, że to on mi ukradł, a nie ja jemu, że ja pierwszy to znalazłem, nie on. Nie wiem, czy słusznie, ale jeśli jestem czysty, czego się mogę obawiać.

Co noc, powoli, bardzo powoli, bo noc to jest dużo i szeroko, i głęboko, i dużo, niezmiernie powoli rodziły się słowa i przekonanie, że to całe pisanie nie jest chyba tak proste, jak zarzynanie wołu, śpiewanie kantyleny czy reperacja buta. Że „napisz wiersz o słoneczku", to niech lepiej szlag trafi słoneczko. Było coraz gorzej. Nad jednym słowem wypalałem dziesięć papierosów, obgryzałem dziesięć paznokci. Im więcej pisałem, tym więcej się morzyłem, bardziej cierpiałem. Odwrotnie proporcjonalnie. (Fizyko ty moja!). Najgorzej było z pierwszym zdaniem, z pierwszym obrazem. Potem pomagała mi konsekwencja. Ale i tak było bardzo źle, do tego stopnia, że czasami żałowałem, iż nie jestem rzeźnikiem, chórzystą lub szewcem.

Ale kiedy znalazłem słowo, kiedy coś mi wyszło, to niepomierna była moja

(Dokończenie na str. 11)

ONI BYLI PIERWSI

(Dokończenie ze str. 2)

koleżanek. Interesuje nas szczególnie kwestia stosowania słowników na lekcjach wszystkich przedmiotów i sprawa błędów językowych w miejscach publicznych.

Samokształcenie a słowniki

Umiejętność korzystania ze słowników ma wielkie znaczenie w każdym samokształceniu. Hasło: „Polska krajem ludzi kształcących się" należałoby raczej rozszerzyć: „Polska krajem ludzi kształcących się i samokształcących się". C. pierwsi są wdrażani do korzystania ze słowników w szkole, a drudzy dzięki słownikom sami kształcą się i dokształcają. I tak jak wśród pomocy szkolnych, tak wśród pomocy samokształceniowych, słowniki zajmują należne im pierwsze miejsce.

W naszych rozmowach o „Akcji J" i w pracach terenowych słowniki też zajmują należne im miejsce.

Nasze błędy w szkole i poza szkołą

Przede wszystkim my, nauczyciele uczący wszystkich przedmiotów, a nie tylko języka polskiego, musimy stale dbać o to, aby liczba naszych błędów językowych naprawdę malała. Powiedzmy sobie, czy jest postęp w naszej polszczyźnie. Co robimy, aby było lepiej? A jeżeli robimy za mało lub nic nie robimy, to kiedy tę pracę zaczniemy? Stan obecny oczywiście nie jest zadowalający. Oto zestawienie niektórych błędów słyszanych na konferencjach szkolnych, powiatowych, wojewódzkich, w klasie i poza nią. Są błędy nauczycielskie i uczniowskie. Każdy z nas pozna w tym spisie swój własny błąd. Są też i moje dawne błędy, na które mi zwrócono przyjacielską uwagę, za co jestem bardzo wdzięczny. Teraz tych błędów już nie popełnię. Znaczną część przytoczonych tutaj błędów uczniowie sami znaleźli i zamierzają umieścić w najbliższym czasie spis ten na tablicy ogłoszeniowej wewnątrz szkoły.

Niektórzy mówią ćtery, ćtyry, śtery śtyry zamiast — cztery, za wyjątkiem — z wyjątkiem, konferencja zacznie się o godzinie pół piątej — konferencja zacznie się o godzinie pół do piątej, oboje chłopcy — obaj chłopcy, śpital — szpital, to znaczy się — to znaczy, Jungówny — Junżanki, Orwatównej, 2 i 3 przpadek — Orwatówny, Orwatównie, wpływowy — ulegający wpływowi, człowiek niezwyczajny — człowiek nieprzyzwyczajony, poszłem na magistrat — poszedłem do magistratu, d'ugi dugi — długi, nie idzie z nim ujechać — nie można z nim wytrzymać, x pół, x przez 2, x na 2 — pół x, x drugich, x dzielone przez 2, funkcja f od x — funkcja fx, protokół z konferencji — protokół konferencji, senzacja — sensacja, trzym się, trzymie — trzymaj się, trzyma, półtora godziny — półtorej godziny, recept — recepta, kafla — kafel, nazwisko: Miśko, Miśkiego, Miśkiemu, Miśkiego — Miśko, Miśki, Miśce, Miśkę, nazwisko: Kwiecień, Kwiecienia — Kwiecień, Kwietnia, co ja mogę za to? — cóż ja zawiniłem?, ja za to nic nie mogę — jam tu nie winien, dziś wielka gorączka — dziś wielki upał (wielkie gorąco) na dworze, ona jest postępową — ona jest postępowa, filiżanka kakaa — filiżanka kakao (nie odmienia się), minusowy, plusowy — ujemny, dodatni, dużo perfumów — dużo perfum, to drożdże jest dobre — te drożdże są dobre, i mi też — i mnie też, rudować — karcować, znosić węgle — znosić węgiel, mianownik: Czesiu, Jasiu, Krzysiu — Czesio, Jasio, Krzysio, wołacz, Ania, Maryla, Cześ, Jaś — Aniu, Marylu, Czesiu, Jasiu, chałas — hałas, kanka — dzbanek, banka, ganek — chodnik, ścieżka, gaska — uliczka, ścieżka, wyciągnąć poza nawias — wyłączyć poza nawias, analiza, époka, Mónika, osiemset — analiza, epoka, Monika ósiemset, krytyka, matematyka, autorytet — krytyka, matematyka, autorytet, katolicy, widziałem, parabola — katolicy, widziałem, parabola, cyfra faktów — liczba faktów, rozpocząć budowlę — rozpocząć budowę, osiem dzieci — ośmioro dzieci, troje osób — trzy osoby; wyłączyć (ą-on fran.) — wyłączyć (ą — jak w wyrazie mąka) *)

Uczniowie klasy XI b wychodzą w teren

Po krótkim zebraniu Koła (na przerwie) XI b wyszła w teren, aby spisać wszystkie błędy językowe znajdujące się w miejscach publicznych. Każda grupa uczniów miała po jednej ulicy większej lub kilka mniejszych. W następnym dniu podzielili się swoimi uwagami i spostrzeżeniami. Najwięcej błędów było na wywieszkach sklepowych. Np. takie napisy:

Kiosk Nr. 7 zamiast — Kiosk Nr 7. Krawiectwo — Zakład krawiecki, Ogrodnictwo — Zakład ogrodniczy, Dr. med. lekarz — Dr med. lekarz, Dewocja i zabawki — Dewocjonalia i zabawki. Przejazd roweramj wzbronione — Przejazd rowerami wzbroniony, Samochód — Samochód.

Dwa ostatnie napisy są w ogłoszeniach drogowych. Podobne błędy, zwłaszcza skrót numeru z kropką — są na tablicy przy budowie dworca kolejowego oraz w pismach PWRN do PPRN i PMRN. Jeszcze o jednym błędzie na wmurowanej tablicy. Niedawno umieszczono tablicę, na której między innymi tak napisano: Dr. Robert Koch. Jest to trwały dokument lekceważenia przepisów pisowni zarówno tego, który dał tę robotę do wykonania, jak i tego, który ją wykonał. Jest to wyraźny brak nawyku kontrolowania swojej poprawności językowej. Można też znaleźć resztki dawnych napisów, np.: Skład bławatów i towarów krótkich. Rzeźnictwo — wędliniarstwo. I nowa wywieszka z takim napisem: Wyrzywo — owoc.

Uwagi uczniów o błędach językowych

Uczniowie uważają, że powinny być wydane ostre zarządzenia administracyjne przeciwko tym, za których wiedzą i zgodą umieszczane są w miejscach publicznych napisy z błędami językowymi. Swoje wypowiedzi tak uzasadniają.

Jeżeli uczeń klasy X za błąd ortograficzny dostaje dwóję, to każdy człowiek z wykształceniem średnim powinien za podobny błąd dostać karę pieniężną taką, aby ją odczuł. Każdy powinien być karany proporcjonalnie do liczby lat studiów. A jeden z uczniów tak uzasadnia uwagi kolegów, każdy rok powinien być liczony jak klasa, bo przecież każdy z urzędu i potrzeby sam się na pewno dokształca, jeżeli mu zależy na tym, aby był postępowy. A na tym każdemu naprawdę powinno zależeć. Wreszcie inny uczeń dodaje jeszcze, że kara powinna być proporcjonalna do liczby lat życia pomniejszonej o siedem, bo w tych latach albo się kształcił w szkole, albo sam się dokształcał.

Zaskoczyły mnie dwie rzeczy w rozmowie z uczniami, a mianowicie to, że sądy ich, często trafne, są surowe, oraz to, że interesują ich problemy wychowania i nauczania. Np. o słownikach tak mówi uczeń: „Moja siostra z klasy IV już od dawna ma słownik Arcta i umie się nim posługiwać. Sprawnie szuka, umie szybko znaleźć, potrafi z kilku wyrazów wybrać wyraz o właściwym znaczeniu. Tu jest wielki postęp. Gdy byłem w klasie IV, nie wiedziałem nawet, co to jest słownik. U nas w domu jest duży ruch, gdy mówimy o słownikach. Kolega ojca przyglądał się słownikowi, pytał o niektóre słowa, siostra znajdowała i w końcu powiedział, że to dobra rzecz".

Mówiono jeszcze, że teraz już stosuje się słowniki na lekcjach innych przedmiotów, że np. wychowawczyni klasy IV używa ich we wszystkich przedmiotach, których uczy, że koleżanka i ja stosujemy je na lekcjach matematyki. Mówiono o potrzebie propagowania słowników wszędzie, a przede wszystkim tam, gdzie jest źródło językowych błędów ogłoszeniowych w miejscach publicznych. W końcu uczeń, który dotąd nie brał udziału w rozmowie, powiedział, że najlepiej mówił o tych sprawach pracownik PSS, którego syn jest uczniem tej klasy IV. Ten uczeń słyszał też rozmowę dwóch ojców, że to nie jest dobrze, gdy małe dzieci widzą błędne napisy. Potem trudno oduczyć od takich błędów, które sobie przyswoiły. Już po zebraniu kilku chórem powiedziało: Nie ma „Akcji J" bez „Akcji S".

Gorący apel i prośba bardzo serdeczna

Koło Miłośników Języka Polskiego klasy XI b, czyli uczniowie klasy XI Liceum Ogólnokształcącego w Wolsztynie — w całej pełni na to sobie zasłużyli, aby podkreślić ich pierwszeństwo, bo to

— *oni byli pierwsi* —

którzy walkę o poprawność językową przenieśli na teren pozaszkolny, jak przed dwudziestu laty w walce o naszą wolność *pierwsi byli Pracownicy Poczty Gdańskiej*.

Na prośbę moich uczniów podaję ich apel:

„Dziś, 1 września 1959, w dniu dwudziestej rocznicy najazdu hitlerowskiego na Polskę, meldujemy najjaśniejszej Rzeczypospolitej Ludowej, że rozpoczęliśmy walkę o czystość i poprawność języka polskiego w powiecie wolsztyńskim i jednocześnie zwracamy się z gorącym apelem i prośbą bardzo serdeczną do szkół wszystkich stopni i wszystkich typów, aby podjęły pracę tę w swoich powiatach. Gorącym naszym pragnieniem jest to, aby każda szkoła tworzyła ognisko żarliwej pracy dla wspólnego dobra.

A sieć tych ognisk niech obejmie cały nasz kraj i praca nasza niech będzie tak wydajna, abyśmy za rok mogli podać jej piękne wyniki do ogólnej wiadomości.

Będziemy się starali o to, aby nie było błędów językowych w naszym powiecie —

ani na tablicach ogłoszeniowych PPRN, PMRN, PGRN —

ani w miejscowej prasie —

ani na wywieszkach sklepowych —

ani w ogłoszeniach drogowych.

Hasło naszej „Akcji J" na najbliższe lata niech się stanie ogólnopolskim hasłem: „Nasz powiat bez błędów językowych."

Wzywamy wszystkich miłośników języka polskiego — profesorów i nauczycieli — pisarzy i redaktorów — pracowników radia i teatru — słowem wszystkich pracowników oświaty, nauki i sztuki, aby się podjęli wielkiej pracy przygotowawczej do uroczystości Tysiąclecia. **)

Pierwszy etap prac — to przede wszystkim zapobieganie błędom językowym i likwidacja ich w wszelkiego rodzaju ogłoszeniach w miejscach publicznych naszego powiatu.

Drugi etap — to oczyszczanie języka ojczystego od wulgaryzmów — to nieustająca troska o piękno mowy naszych Ojców".

W przygotowaniach do uroczystych obchodów Millenium nie może zabraknąć przygotowań językowych.

Nie znaczy to, że zrobimy wszystko. To znaczy tylko tyle, że tę robotę rozpoczęliśmy i dalej poprowadzimy ją razem z tymi, którzy pójdą z nami, a na pewno pójdzie ich wielu — ad linguam polonicam emendandam.

Jan Czesław Makarski

*) Błędy te są charakterystyczne dla tego środowiska: wiele tu germanizmów. Nasz lubelski spis wyglądałby inaczej. (Przyp. red).

**) Inicjatywie tej należy jak najgoręcej przyklasnąć. „Kamena" zawsze zwracała baczną uwagę na czystość języka i niejednokrotnie występowała przeciw szkodnikom zatruwającym naszą mowę. Artykuł ten traktujemy jako pierwszy z cyklu podobnych, które będziemy zamieszczali w rubryce: Tępimy chwasty językowe. (Red.)

DIALOGI O WIELKIEJ

(Dokończenie ze str. 1)

cją procesu tej kulturalnej „koegzystencji" jest przede wszystkim po raz pierwszy otwierająca się przed nami tak szeroka możliwość obiektywnej oceny naszych sił, naszej dynamiki, walorów i dorobku w dziedzinie kultury i twórczości artystycznej. Zupełnie nieoczekiwanie przekonaliśmy się w zeszłym roku, że należymy bezsprzecznie do czołówki europejskiej. Nie tylko nie mamy powodów wstydzić się, lecz możemy być, słusznie, dumni. Nie jesteśmy już ani pawiem, ani papugą.

Procesy i zjawiska mierzone w skali ogólnokrajowej rzutują, w silniejszym niż nam to się pozornie wydaje, stopniu, na rozwój i kształt życia kulturalnego Lubelszczyzny. Najbardziej pozytywnym procesem jest zmiana metod działającego obecnie mecenatu. Zainteresowania zostały ostatnio znacznie rozszerzone. Dowiodła tego ostatnia Wystawa Okręgowa ZPAP-u, konkretnie: bardziej demokratyczny sposób zakupu obrazów, którym objęte zostało również województwo. Artyści lubelscy coraz bardziej i o wiele intensywniej „włączają się" w ogólnopolski nurt twórczości i coraz częściej korzystają z ogólnoświatowego dorobku kulturalnego.

Trzeba tu także zwrócić uwagę na obiektywne warunki, które warunkują ten stan rzeczy: zainteresowanie plastyką lubelską zagranicy, powstanie Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej (takie pozycje, np. jak „Dziennik" Klukowskiego, „W stołecznym Lublinie", Album Kononowicza itp.), po raz pierwszy od wielu lat konsekwentna i przemyślana koncepcja repertuarowa lubelskiego teatru (ostatnia polemika w prasie stołecznej i ogólnopolskiej na temat inscenizacji „Cezarego Baryki" dowodzi, że stać nas na spektakle ciekawe i dyskusyjne), prężny i dynamiczny ośrodek kulturalny, jakim jest Lubelski Dom Kultury, Muzeum Lubelskie i jego bardzo tolerancyjny, pożyteczny charakter popularyzatora sztuki itp.

Z innych zjawisk kulturalnych na terenie naszego miasta wymienić by należało chyba wystawy: „Phases", pokaz III Wystawy Sztuki Nowoczesnej i najbardziej ciekawą wystawę Jana Ziemskiego. Wystawa Okręgowa członków ZPAP-u w ubiegłym roku była również bardziej interesująca od innych wystaw analogicznych, odzwierciedlała bowiem istotne stosunki między Lublinem a województwem.

W ubiegłym roku okrzepło środowisko literackie, literaci wyszli na spotkanie odbiorców („wtorki literackie"). Obecnie konsoliduje się i scala środowisko plastyczne. Krystalizuje się i „dorabia" własnego oblicza środowisko aktorskie...

Te wszystkie procesy kulturalne znajdą — mam nadzieję — wyraz bardziej plastyczny w roku, który stoi przed nami.

MGR KRYSTYNA KOTOWICZ, RED. LUBELSKIEJ ROZGŁOŚNI PR: Dla mnie najbardziej charakterystycznym zjawiskiem kulturalnym jest proces krystalizacji profilu „Współczesności" oraz wypływająca z tego faktu intensywniejsza walka tego pisma z rozpanoszonymi w naszym życiu gustami typowo drobnomieszczańskimi, z kołtuńskimi nawykami i przyzwyczajeniami, przede wszystkim walka z mieszczańskim sposobem ujmowania świata oraz surowa rewizja ustalonych pewników i autorytetów.

Kampania ta jest dla mnie najważniejsza, ponieważ „Współczesność" jest jedynym bodaj pismem w ogóle, które tę akcję podjęło i próbuje oddziaływać na środowisko młodej inteligencji.

Inne zjawiska kulturalne, charakterystyczne dla ubiegłego roku trudno mi wymienić. Odsunięci jesteśmy od ogólnego nurtu. Brak nam orientacji w procesach kulturalnych zachodzących poza Lublinem, przede wszystkim brak bezpośrednich kontaktów z bieżącym życiem kulturalnym w kraju. A w ogóle — sytuacja Lublina nie jest sytuacją najweselszą...

Wiele rzeczy działo się w Lublinie w ubiegłym roku. Trudno zdecydować, które z nich były zjawiskami najbardziej znaczącymi.

Ze zjawisk literackich wymieniłabym wizytę Białoszewskiego. Dla plastyki powstanie przy „Kamenie" „Struktur", które podniosły znaczenie i przyczyniły się do aktywizacji miejscowego środowiska plastycznego, oraz wystawa „Phases". Wystawa J. Ziemskiego była dla mnie wielkim przeżyciem. O kolosalnej różnicy w dziedzinie aktywizacji lubelskiego środowiska plastycznego między ubiegłymi latami a rokiem 1959 świadczy dobitnie ostatnia doroczna Wystawa Okręgowa. Szerszy udział na niej plastyków z terenu województwa, szerszy zakres zakupów — to zjawiska, które potwierdzają jakiś przełom w tej dziedzinie...

Pewne ożywienie nastąpiło również na odcinku życia teatralnego. Ostatni rok był okresem dosyć szczęśliwym, jeżeli chodzi o linię repertuarową. W większym także niż poprzednio stopniu ożyła wymiana teatrów. Gościliśmy kilka ciekawych zespołów pozalubelskch.

Nie jestem przekonana natomiast, czy rozwiązanie „Estrady" było pomysłem najszczęśliwszym. Abstrahując od wartości inscenizacji sztuk wystawianych przez Teatr Objazdowy „Estrady", likwidacja tego Teatru pozbawiła lubelską prowincję kontaktu z jakąkolwiek formą sztuki. Na plus zapisać „Estradzie" należy sprowadzenie do Lublina zespołów estradowych o wyraźnie wyższym poziomie niż w latach ubiegłych.

Największą bolączką jest brak miejsca, gdzie można by odpocząć, popracować, podyskutować czy pokłócić się nawet...

Jeżeli chodzi o naszą Rozgłośnię, to dostaniemy prawdopodobnie w tym roku więcej czasu, będziemy nadawać program bardziej rozszerzony. Zwiększy się tym samym zakres oraz stopień oddziaływania na społeczeństwo Lubelszczyzny...

Perspektywy na rok bieżący? — Optymistką to ja nie jestem! Zresztą

▶

I MAŁEJ KULTURZE

nie ma podstaw do optymizmu. Nie ma przede wszystkim w Lublinie scementowanego ośrodka kulturalnego. Jedynie, w związku ze zmianami w ZPAP, przewiduję uzdrowienie sytuacji przynajmniej na tym odcinku. Optymistką nie jestem...

MGR L. KULICKI, KIEROWNIK KLUBU MPiK, CZŁONEK KOMISJI KULTURY PRZY KM PZPR: Ogólnie rzecz biorąc, należy stwierdzić, że decydującymi momentami dla całokształtu polskiego życia kulturalnego w ubiegłym roku były: III Zjazd oraz grudniowa narada 1958 r.

W r. 1959 życie kulturalne w Polsce nabrało rumieńców, posiadało bardziej intensywny charakter oraz szerszy niż dotychczas zakres oddziaływania. Choć nie wszystkie postulaty i wnioski narady grudniowej zostały w ubiegłym roku zrealizowane, przeżywaliśmy pełną niemal decentralizację w dziedzinie kultury. Proces decentralizacji odbił się korzystnie przede wszystkim na wypracowaniu i doborze szerokiego wachlarza form odpowiadających charakterowi poszczególnych placówek kulturalnych oraz form związanych ściśle z profilem tych placówek. Przełamanie zasady jednego generalnego szablonu, jednej sztywnej sztampy uważam za najbardziej pozytywne zjawisko kulturalne w roku ubiegłym.

Najbardziej charakterystyczne zjawisko w Lublinie w roku 1959 to chyba Dni Kultury Lublina. Były one lepsze od podobnych imprez organizowanych w latach ubiegłych. Ilość poszczególnych imprez oraz ich charakter były właściwie i zgodnie z ich celem zaplanowane.

Najbardziej pozytywnym zjawiskiem była w roku ubiegłym wzmożona działalność popularyzatorsko - kulturalna Lubelskiego Oddziału Związku Literatów. Zorganizowany w roku 1959 cykl imprez literackich, tzw. „wtorków literackich", od pierwszej chwili przyciągnął publiczność i zaczyna wyrabiać sobie „dobrą markę" wśród społeczeństwa lubelskiego.

Działalność Klubu MPiK w roku 1959 oceniam pozytywnie. Klub ustalił swoją pozycję, zdobył liczny zastęp stałych bywalców i zwolennników. Zmienił się nieco skład publiczności odwiedzającej klub. Od połowy ubiegłego roku każdego dnia w czytelni mamy „nadkomplety". Wielu, niestety, odchodzi z braku miejsc z kwitkiem. W związku z tym podjęliśmy przy końcu ubiegłego roku odpowiednie kroki zmierzające do poszerzenia powierzchni użytkowej Klubu. Chciałbym zasygnalizować również ciekawą niespodziankę, którą Klub przygotowuje dla swych gości w roku bieżącym. Będą to stałe koncerty muzyki stereofonicznej, absolutna nowość w naszym mieście.

Najbardziej palącym niewątpliwie zadaniem, jakie stanie przed nami w roku 1960, to sprawa inwestycji kulturalnych, sprawa budownictwa kulturalnego. Dopóki to zagadnienie nie zostanie rozwiązane, nie ma co mówić o prawidłowym rozwoju życia kulturalnego w naszym mieście.

Najbardziej pilne inwestycje to budowa odpowiedniej sali widowiskowej, żeby nie wychodzić, jak było dotychczas, z imprezami reprezentatywnymi w hali targowej, budowa gmachu teatralnego, wreszcie ukończenie stacji przekaźnikowej dla telewizji. Nie mówię tu o odpowiednim lokalu dla Klubu MPiK... W tym roku w dziedzinie tej nastąpi prawdopodobnie decydujący przełom. Zobaczymy...

JAN MACHULSKI, AKTOR TEATRU IM. J. OSTERWY:

To wszystko, co się działo w ubiegłym roku na Lubelszczyźnie (a działo się sporo) jest jednak wciąż nieproporcjonalnie ubogie w stosunku do potencjalnych naszych możliwości. Potencjalnie Lublin jest ośrodkiem wspaniałych możliwości. Jest przede wszystkim środowiskiem młodzieży. Nie wiem, z jakich przyczyn środowisko to nie może się ujawnić. Rozmawiać z każdym z osobna: co za wspaniałe koncepcje, pomysły, oryginalne podejście do wielu zagadnień! Co jednak przeszkadza w realizacji tych głębokich niewątpliwie zainteresowań twórczych i tych ciekawych tendencji? Nie mam pojęcia. Należałoby chyba odkryć przyczynę owego marazmu. Należałoby znaleźć środki zaradcze. To jest sytuacja wyjątkowo niejasna, sytuacja wyjątkowo zagmatwana...

Wydarzeniem dużego formatu było XV-lecie naszego Teatru. Jest to dorobek o dużej wadze gatunkowej...

Dla mnie osobiście rok ubiegły był w pewnym sensie przełomowym. Czuję, że mam poza sobą jakiś istotny etap. Dzięki rolom, które kreowałem, znalazłem nowe środki ekspresji, nowe środki wyrazu dla mego aktorstwa. Uświadomiłem sobie czego chcę i po jakiej drodze mam iść w przyszłości...

Rok 1960? Rzecz w tym, że rok bieżący nie bardzo się afiszuje swymi perspektywami... Nasz teatr ma oczywiście bardzo ambitne plany. Jego ambicją jest być teatrem współczesnym i młodym... Bardzo boleśnie odczuwamy brak drugiej sceny.

Moim osobistym życzeniem jest życzenie, abyśmy się mogli w tym roku wreszcie dogadać. By wszyscy ludzie, którzy mają coś do powiedzenia, mogli spotkać się na wspólnej płaszczyźnie... Żeby z rozbitych środowisk twórczych stworzyć w końcu jedno dynamiczne środowisko!

MARIAN MAKARSKI, INŻYNIER-ARCHITEKT: Najważniejsze osiągnięcie, największa zdobycz w dziedzinie kultury w roku ubiegłym wiąże się, moim zdaniem, z bujnym, wspaniałym rozkwitem plastyki nowoczesnej. Osiągnięcia plastyczne przeniesione zostały do architektury i związane, jak nigdy dotychczas, z naszym codziennym życiem. Rok 1959 był pod tym względem rokiem naprawdę przełomowym.

Weźmy choćby zagadnienie wnętrz. Spójrzmy na wnętrza lokali oddawanych do użytku w roku ubiegłym lub remontowanych. Wszystkie sklepy, lokale publiczne, siedziby instytucji, placówek społecznych i kulturalnych ozdabiane są na szczęście przez artystów-plastyków. Estetyka na codzień staje się powoli zagadnieniem tak powszechnym i koniecznym, jak np. dystrybucja żywności. Po raz pierwszy bowiem w roku ubiegłym zagadnienie nowoczesności sztuki zyskało u nas prawo obywatelstwa.

Z zagadnień związanych z Lubelszczyzną chciałbym wymienić na pierwszym miejscu doprowadzenie do pomyślnego końca planu urbanistycznego naszego miasta. Mamy wreszcie swój plan, swą własną skrystalizowaną koncepcję Lublina przyszłości. Zagadnienie o wadze gatunkowej, którą trudno ocenić...

Związane z tym zagadnienie budownictwa obiektów kulturalnych nabrzmiało obecnie do rangi problemu naczelnego. Myślę o pilnej potrzebie budowy gmachu nowego teatru i Domu Kultury (konkurs na budynek teatru i projekt Domu Kultury).

Plastyka lubelska ruszyła wreszcie w ubiegłym roku z martwego punktu. Wyrazem znacznego ożywienia na tym odcinku była zeszłoroczna wystawa członków Okręgu ZPAP.

Również lubelski teatr w 1959 zaczął krystalizować swe oblicze.

Jeżeli chodzi o mój zawód, rok ubiegły był rokiem wytężonej pracy. Skończyłem różne projekty. Poszły do realizacji projekty: Domu Kultury w Hrubieszowie, Domu Towarowego w Bychawie, Domu Handlowego w Lubartowie itp. Przytaczam te dane, ponieważ świadczą one o aktywizacji Lubelszczyzny. Najbardziej cieszę się, że mam wreszcie poza sobą moją pierwszą wystawę malarską...

Bardziej radykalnych zmian w roku bieżącym nie przewiduję. Rozwój kultury musi opierać się bowiem na bazie materialnej. Taką bazą dla Lublina są odpowiednie obiekty kulturalne. A obiekty takie, jak wiemy z praktyki, nie powstają z roku na rok. Na bardziej zdecydowany przełom kulturalny w naszym mieście, musimy więc poczekać kilka lat.

SZEF LUBELSKIEJ EKSPOZYTURY CWF, ZBIGNIEW STĘPNIAK: Bardzo pozytywnym zjawiskiem jest coraz bardziej ożywiona wymiana kulturalna między Polską a zagranicą. Szereg kontaktów kulturalnych w roku 1959 ma swoją wymowę polityczną i wielkie znaczenie dla prawidłowego rozwoju kultury polskiej. Stwarza się skuteczny doping i silne bodźce dla bogacenia naszej kultury krajowej.

Najważniejszą sprawą w ubiegłym roku była dyskusja dotycząca budownictwa kulturalnego. Dzięki gorącemu zainteresowaniu się władz partyjnych i rad narodowych wykrystalizowała się wreszcie jasna koncepcja budownictwa obiektów kulturalnych (Wojewódzkiego Domu Kultury i gmachu teatralnego).

Rok ubiegły był również rokiem rekordowym w dziedzinie percepcji sztuki filmowej: padł rekord premier filmowych. Obserwujemy pozytywne zjawisko rozbudzonego zainteresowania naszej lubelskiej publiczności sztuką filmową polską i radziecką...

W roku bieżącym dążyć należy do likwidacji pewnych mankamentów w życiu kulturalnym, które ujawniły się w roku 1959. Przede wszystkim: żeby „Estrada" przejawiła nie tylko swą działalność na terenie Lublina, lecz żeby wyszła również z imprezami o takim samym poziomie na spotkanie odbiorcy małomiasteczkowego i wiejskiego.

Życzyć by należało również dalszego rozwoju Dyskusyjnych Klubów Filmowych, no i... możliwie szybkiego przekazania lubelskiemu społeczeństwu nowych gmachów i placówek kulturalnych. Tylko to bardzo trudne zagadnienie.

ZBIGNIEW ZABORSKI, MŁODY POETA, CZŁONEK GRUPY „PROM": Życie kulturalne w Polsce w roku ubiegłym było tak bogate i ożywione, że wybór jakiegoś jednostkowego zjawiska wydaje się sprawą niemal niemożliwą...

Zwraca uwagę bezkompromisowość „Współczesności", jedynego chyba pisma, które wie czego chce.

Jeżeli ograniczymy się do Lublina, to zauważymy niewątpliwie renesans życia literackiego: ostatnie dyskusje prasowe, zainteresowanie się Związku Literatów młodszymi kolegami, powstanie grupy poetyckiej „Prom" itp. — wyraźnie wskazują na jakiś znamienny przełom w tej dziedzinie. Niestety, uroczystości Czechowiczowskie miały wymiar zbyt skromny jak na rangę tego poety.

W roku bieżącym widzę duże możliwości jeszcze większego związania „Kameny" z terenem Lubelszczyzny oraz ożywienia życia literackiego przez zorganizowanie większej ilości konkursów i turniejów poetyckich.

Wywiad przeprowadził i dane notował

Zbigniew Jakubik

Która jest jak oliwa na wodę

(Dokończenie ze str. 9)

radość. Coraz większa była moja radość. A kiedy już napisałem wiersz, kiedy go ukończyłem, co to było! Jeśli nie było nikogo w pokoju i jeśli w pokoju było lustro, podchodziłem do niego i powtarzałem wiersz głośno, kilkakrotnie i radowałem się, choć niewyraźnie mówię i zatrzymuję się w środku zdania, jak gdybym cieszył się ostatnim słowem, które przed chwilą wymówiłem niewyraźnie. Skakałem, śpiewałem, przewracałem krzesła, kopałem je, cieszyłem się. Jeśli w pokoju nie byłem sam i ktoś inny spał, kładłem się cicho i gryzłem poduszkę. Cieszyłem się. Zapalałem papierosa i powtarzałem cicho:

jak to jest że tak mało pokory ta
chwila łania
kiedy ręce na nią odpuszczam
a więcej obdarzam

bo oto prawie trzymam swoją
nieobecność
że omdlewają mi kwiaty w ogrodzie
i łaźni

więc pozdrowiona bądź ostatnia pora
imienin
twój popiół biały w dzbany skrzętnie
już po nas

i wdowy swój obłęd na gitarach
zawodzić zawodzić

A na szybach już świt czynił przezroczystość i widoczność gałęzi za oknem, i kamienic między gałęziami, i nieba między kamienicami. A tu najbliżej czyniła się agonia żarówki, która żyła ze mną przez całą noc, była moim nocnym słońcem, a teraz ustępowała miejsca świtowi, umierała, więc gasiłem ją, gdyż szlachetnie jest przerywać agonię dobrej rzeczy lub pięknego i wiernego zwierzęcia, i ja też umierałem nad ranem i prosiłem sen, by przerwał moją agonię, ale sen nie był szlachetny i długo, długo jeszcze umierałem z wierszem na wargach, jak z ostatnią relikwią, opatrzony najświętszym sakramentem własnej miłości.

Starałem się zawsze, by mój ostatni wiersz był lepszy od najpiękniejszego wiersza świata: to znaczy od mojego poprzedniego wiersza. Czasami nie wychodziło, ale nigdy nie mogłem zdobyć się na podarcie. W takich razach wmawiałem w siebie, że ten wiersz nie jest może lepszy od poprzedniego, ale nie jest również gorszy, więc nie jest znowu tak źle. Po każdym wierszu wydawało mi się, że to już koniec, po tym wierszu już nic nie potrafię napisać. Jednak po jakimś czasie, po dwóch, trzech dniach, po tygodniach, czasami dłużej, przestawałem żyć ostatnim wierszem. Wtedy szukałem kąta, nory, gdzie mógłbym się zaszyć.

Zawsze coś znajdowałem, bo chciałem bardzo. Wyjmowałem białą kartkę i podkładałem pod nią jakąś gazetę, ale tak, żeby nie wystawała, żeby tylko biała kartka. Nie wiem czemu. Na kartkę kładłem ołówek i zapalałem papierosa. Zapalałem papierosa i uciskałem głowę z nad kartki. Paliłem papierosa i przez jakiś czas nie myślałem o niczym. Doszedłem do wniosku, że to bardzo dobrze tak o niczym nie myśleć przez jakiś czas, tak się zapomnieć. To są takie małe wakacje, trochę snu, coś takiego jak masaż przed wejściem na ring albo basen.

Najgorzej jest z pierwszą linijką. Za dużo jest wyboru. Można wybierać wszystko, a nie wiadomo co, tyle tego jest. Z drugą linijką męka jest łagodniejsza, bo trzeba być konsekwentnym, tzn. sprawiedliwym wobec pierwszej linijki, która właściwie wcale nie odpada, bo druga linijka musi z niej wypadać. Nie wiem, czy umiejętnie to wyraziłem. W każdym razie coś z tej okolicy się odbywa. Z następnymi wersetami podobnie, tylko że trzeba ostrożnie, nie wolno zasypiać, należy pamiętać o wszystkim i czuwać, i palić, i obgryzać paznokcie. Trzeba się oddać. Reszta nie jest milczeniem. Nie ma reszty. Oczywiście ja nie chcę nikogo nauczać. Ja sam wiem przecież tak mało. Tak bardzo mało. Ja sam zawsze śmieję się z tych mistrzów, arcymistrzów: „— Powinieneś młody człowieku..."

Nieraz mi coś ładnego wytryśnie, ale nic więcej. Wtedy jestem niezadowolony, bo to jest jak z muzyką Saint-Saensa: ładna, ale tylko, ale ładna, ale tylko...

Ale muzyka musi być. Faliczna. Jak przypływ lub odpływ. Faliczna.

Z początku byłem zafascynowany Norwidem. Myślę teraz, że to źle być zafascynowanym jednym facetem nawet jeśli to Rilke. Z początku porównywałem siebie do Największych. Myślę teraz, że dobrze jest ustawiać siebie od razu najwyżej. To zobowiązuje. Człowiek stara się wtedy najwięcej, najlepiej, najwyżej, żeby nie przynieść im wstydu i sobie również. To nie znaczy oczywiście, że należy chodzić jak paw albo co najmniej potomek de Venosta z linii luksemburskiej.

Wszystko można zrobić. Pory roku zmieniać w zgięciach przegubów. Syna przenosić do gajów oliwnych a gościnnych tak samo. Miłego mu konia. Wszystko można napisać. Trzeba tylko posiadać umiejętność i czucie i jeszcze czułość, która jest jak oliwa na wodę.

Nie mówię, że ja to mam, chociaż nigdy nic nie wiadomo. Ja się teraz prawie nie liczę. Ale może kiedyś ja też będę się liczył. Będę wyspa na jeziorze. Będę wyraźny. Będą mnie pielęgnować.

Teraz sobie wędruję, ale za to nie gniję. Droga wysysa mi pięty, ale za to nie gniję.

Edward Stachura

NASZ EKRAN

DUMAS I FILM

W wieczór sylwestrowy reprezentacyjne lubelskie kino „Wyzwolenie" urządziło dla swych bywalców imprezę z dwoma atrakcjami: pierwszą z nich była Sława Przybylska w asyście St. Młynarczyka i K. Wieczorka, drugą — film francuski pt. „Wicehrabia de Bragelonne".

Właśnie tego dnia rano byłam świadkiem, jak pewien skromnie odziany klient pytał w księgarni o „Wicehrabiego de Bragelonne", by usłyszeć w odpowiedzi, że zarówno ta powieść Dumasa, jak wszelkie inne — są wyprzedane. Od stu z górą lat Aleksander Dumas-ojciec, ten żywiołowy olbrzym z krwią murzyńską w żyłach, zajmuje czołowe miejsce wśród najpopularniejszych pisarzy świata. Tłumaczą go i czytają pod wszelką długością i szerokością geograficzną, a także niezależnie od ustroju. Ale bo też powieść Dumasa to niejako kwintesencja tego, czego po dziś dzień, mimo triumfów „antypowieści" — oczekuje po tym gatunku literackim przeciętny czytelnik: pasjonująca fabuła; barwne, egzotyczne w swej odmienności tło; wrażające się w pamięć postaci; sporo dialogu pisanego z nerwem urodzonego dramaturga, i nareszcie ten jakiś optymistyczny ideał sprawności, tężyzny, bohaterstwa w służbie dobrej sprawy, który to ideał mimo warystko tkwi w masie ludzkiej mocno i głęboko. W kręgu kultury francuskiej ideałowi temu nadał najwyrazistszy kształt właśnie Dumas-ojciec; u nas Sienkiewicz, tworząc swych polskich i kozackich bohaterów Dzikich Pól; na podłożu amerykańskim to samo zapotrzebowanie społeczne zrodziło westerny. Zdawać by się mogło, że powieści Dumasa powinny być skarbnicą tematów dla tego typu filmów rozrywkowo-krzepiących, zwłaszcza że zasadniczym motywem jest zazwyczaj u Dumasa klasyczny motyw filmowy — pościg i starcie wręcz. A jednak — o ile mi wiadomo — dzieła Dumasa nie stały się punktem wyjścia dla żadnego wybitniejszego — oczywiście w danej kategorii — utworu filmowego. Czy przyczyn tego szukać należy w zdecydowanie ahistorycznym nastawieniu naszych czasów? czy w innych, głębszych sprawach? czy może po prostu w zwykłym fakcie, że Dumas nie miał szczęścia do scenarzystów i reżyserów? Trudno rozstrzygnąć sprawę generalnie; w szczegółowym wypadku „Wicehrabiego de Bragelonne", którym uraczono nas w noc sylwestrową, stanowczo — nie miał szczęścia. Można by zekranizować „Wicehrabiego" z przymrużeniem oka i wyszłoby coś na kształt „Fanfana"; można by zrobić zeń bez trudu kostiumowego westerna z zawrotnym tempem i końcowym morałem; można by — w ostateczności i z dużym wysiłkiem — znaleźć tu nawet temat do filmu naprawdę historycznego, ale niestety realizatorzy nie zadali sobie trudu wyłuskania którejkolwiek z sensownych możliwości. Film nie ma dumasowskiej werwy ani wyrazistości, ani jakiegoś bodaj schematycznego sensu moralnego. W kontekście podanych faktów nie bardzo rozumiemy, czemu kardynał ma być zły, a król, który zamyka z powrotem swego bliźniaka do Bastylii i najwidoczniej zamierza wprowadzić kult jednostki — dobry; po co dzielny wicehrabia i trójka nie mniej dzielnych, acz nieco podstarzałych, muszkieterów upędzają się tu i tam i „naparzają" z tym i owym; jaki jest sens i cel tego całego harmidru, w którym widz nie ma powodu angażować się emocjonalnie po którejś z walczących stron. Dodawszy do tego bardzo przeciętny poziom aktorstwa oraz pocztówkowy koloryt — możemy co najwyżej współczuć Dumasowi, który mimo warystko zasługiwałby na więcej względów. A także współczuć widzom, którzy chcąc usłyszeć i zobaczyć *in natura* Sławę Przybylską, musieli wpierw wysiedzieć dwie godziny na tym kolorowym nudziarstwie.

Cała pociecha, że na początek pokazano doskonale zrobione, dowcipne i zjadliwie „antyjubileuszowe" wydanie PKF. Więcej takich jubileuszów!

A Sława Przybylska jest w istocie znakomita i urocza, i nie rozumiem, dlaczego nie można było jej występu — skoro już koniecznie musiał być połączony z filmem — skojarzyć z czymś w rodzaju „Muła Francisa", to znaczy z komedią przemawiającą do wszelkich kategorii widzów. Ostatecznie sylwester jest tylko raz w roku, a Przybylska nie wiadomo kiedy przyjedzie do Lublina po raz drugi.

Tajoj

KSIĄŻKI NADESŁANE

Jerzy Zagórski: Krawędź, PIW 1959
Stefan Flukowski: Płomień róży, PIW 1959
Stanisław Strumph-Wojtkiewicz: Złote guziki, PIW 1959
Stanisław Piętak: Upragnione losy, PIW 1959
Aleksander Fredro: Dożywocie, PIW 1959
Jerzy Mieczysław Rytard: Na wielkiej grani, Wniebowstąpienie, PIW 1959
Paul Heyse: Wesele na Capri, przeł. Franciszek Mirandola, PIW 1959
Włodzimierz Odojewski: Miejsca nawiedzione, Wyd. Łódzkie 1959
Małgorzata Hołyńska: Kosmaty bożek Babalń, Wyd. Łódzkie 1959
Anna Danuta Kaczyńska: Z ziemi i deszczu, Wyd. Łódzkie 1959
Walter Scott: Ivanhoe, przeł. Teresa Tatarkiewicz, Nasza Księgarnia 1959
Cyprian Kamil Norwid: Pamiętnik artysty, PIW 1959
Emil Zola: Rzym, przeł. Hanna Szumańska-Grossowa i Irena Wieczorkiewicz, PIW 1959
Kazimiera Iłłakowiczówna: Niewczesne wynurzenia, PIW 1958
Juliusz Słowacki: Utwory wybrane, PIW 1959
Fiodor Dostojewski: Bracia Karamazow, przeł. Aleksander Wat, PIW 1959
Bolesław Leśmian: Szkice Literackie, PIW 1959
Daniel Defoe: Dziennik roku zarazy, przeł. Jadwiga Dmochowska, PIW 1959
Machado de Assis: Dom Casmurro, przeł. Janina Wrzoskowa, PIW 1959
Joseph Conrad: Spadkobiercy, przeł. Henryk Krzeczkowski, PIW 1959
Tadeusz Kubiak: Trędowaty u wrót raju, PIW 1959
Józef Szczublewski, Eugeniusz Szwankowski: Alojzy Ziółkowski-Syn, PIW 1959
Kazimierz Chłędowski: Rokoko we Włoszech, PIW 1959
Janusz Laskowski: Siedem lat barwnych, PIW 1959
Włodzimierz Korolenko: Historia mojego współczesnego, przeł. Paweł Hertz, PIW 1959
Zbigniew Bieńkowski: Trzy poematy, PIW 1959
Juliusz Słowacki: Liryki, PIW 1959
Bolesław Prus: Listy, PIW 1959
Iwan Gonczarow: Obłomow, przeł. Nadzieja Drucka, PIW 1959
Homer: Odyseja, przeł. Jan Parandowski, PIW 1959
Jalu Kurek: Janosik, t. 1—3, Pax 1959
Werner Keller: A jednak Pismo Święte ma racje, przeł. Janusz Koczołowski, Pax 1959
Roman Brandstaetter: Faust zwyciężony, Pax 1959
Henri Queffélec: Blask ognia na morzu, przeł. Zygmunt Glinka, Pax 1959
Franciszek Halas: Oczekiwanie, przeł. Andrzej Piotrowski, Pax 1959
Gilbert Cesbron: Jest później niż myślisz, przeł. Stefania Zgórska, Pax 1959
Henryk M. Kokier: Wspomnienia staromiejskie, Pax 1959
Henryk Syska: Tajemnica białego habitu, LSW 1959

Ucieczka z marginesu życia

(Dokończenie ze str. 8)

mujący całość książki z wyjątkiem kilku stron, jest bowiem kompozycyjnie wstawką. Utwór dzieli się na dwie części: opis „ucieczki" narratora z rodzinnego miasteczka i jej motywacja, którą stanowi całe dotychczasowe życie bohatera, przezeń opowiedziane.

Dziwne to życie i smutne. Zaczęte w chaosie lat 1914—1920, objęte ramami nienormalnej, rachitycznej rodziny, życie dziecka — a potem człowieka — tragicznie samotnego, nierozumianego przez otoczenie, wyobcowanego z otoczenia.

Na marginesie życia pod każdym względem umieszczone są losy bohatera „Ucieczki". Terenem akcji jest miasteczko na Kresach, tuż nad granicą, czasem zasadniczego zrębu powieści są pierwsze lata niepodległości; bohaterami mieszkańcy miasteczka i grupa młodzieży w różny sposób akcentującej swoją inność. Różnymi sposobami próbującej uciekać z rodzinnego miasteczka, z życia bezsensownego, gnuśnego i monotonnego, od ludzi biednych, głupich i zdezorientowanych. Ludzi, którzy nawet nie są zdecydowani, do jakiej należą narodowości.

Światek omawianego utworu to formalne bezdroże. Kraina nędzy, abnegacji, bezideowości, zobojętnienia i rozpaczy. Marginesy. Tragiczne marginesy. Narrator i grupa jego towarzyszy niedoli (nazwa „przyjaciele" nie wydaje się tu odpowiednia) duszą się w atmosferze, grzęzną w nicości. Jednak próby przełamania magicznego kręgu są tragicznie śmieszne. Ponure „dyskusje", bezcelowy tryb życia, brak konstruktywnego zajęcia i zdecydowanych ideałów bynajmniej nie pomagają w przerwaniu zaczarowanego koła nadgranicznej beznadziejności.

Przed młodzieżą żądną innego, lepszego życia stoją według autora dwie drogi: przejście granicy — o którym marzą komunizujące koła, albo wyjazd w głąb kraju do większych miast, do Warszawy — droga, którą wybiera narrator „Ucieczki". Część jednak młodego społeczeństwa w nadgranicznym miasteczku wybiera trzecią drogę, połowiczną, pozostaje w rodzinnych stronach wyłączając się tylko (czy jednak na długo?) z życia społeczeństwa „dorosłego", żyjąc życiem własnym, bardzo zresztą różnym.

Gdyby nie akcent ucieczki, oderwanie się od opisywanych warunków, inicjujący i zamykający książkę, pesymizm utworu były odurzający. W rysunku bowiem postaci i otaczającej ich rzeczywistości autor użył, moim zdaniem, zbyt wiele czarnych barw.

W opisach scen z więzienia, śledztwa i okoliczności związanych z nieudaną próbą ucieczki za granicę grupy młodzieży znalazły się słowa, które można by pominąć, zastąpić mniej ostrymi. Np. na s r. 142 Gomolicki pisze: „Czekała ich zabójcza wilgoć lochów, tortury i kula wymierzona w tył głowy". Strzały w potylicę z tragicznym dla nas skutkiem stosowali nasi wrogowie — dlatego też gdy mowa o krzywdach ze strony własnego państwa, przychodzą raczej na myśl pamiętne słowa Broniewskiego: „Są w Ojczyźnie rachunki krzywd, obca dłoń ich też nie przekreśli, ale krwi nie odmówi nikt...".

Autor recenzji na obwolucie pisząc o kształcie artystycznym książki stwierdza, że narracja „Ucieczki" w zasadniczym trzonie utrzymana jest w ramach realistycznej powieści, mimo to wspomina o wpływach Kafki, Prousta, dodając jednocześnie, że bohater został ukazany w „kostiumie nowoczesnym"(?). Sąd raczej nietrafny: „Ucieczka" w zasadniczym zrębie nie jest powieścią realistyczną — bliższa już jest, miejscami, naturalizmu. Psychologiczne bezdroża, patologiczne typy, sceneria chwilami makabryczna — zbliżają utwór do półsennych rojeń, fantastycznych analiz stanów duszy na tle pełnym swoistej poezji, jakiegoś oryginalnego ponurego romantyzmu. W sumie można by nazwać tę książkę spowiedzią człowieka, w którego psychice miesza się rzeczywistość z życiem wewnętrznym; wyznaniami jednostki piekielnie pokrzywdzonej, samotnej, w dodatku niezdolnej prawie do niczego poza negacją.

Niełatwo zresztą znaleźć najwłaściwsze określenie. „Ucieczka" bowiem to książka trudna i niepokojąca, niestety nie zawsze w pozytywnym sensie.*)

Bohdan Królikowski

*) *Łódź 1959*

NOTY

NIEZNANE LISTY ST. BRZOZOWSKIEGO. W związku z artykułami o Stanisławie Brzozowskim, które opublikowało kilka czasopism na odcinku ostatnich paru lat, apelował kaj w „Kamenie" (nr 23/24 z ub. r. — Noty) do Zarządu Głównego ZLP o przyśpieszenie rehabilitacji twórcy „Płomieni". Otóż przed paru dniami redakcję naszą odwiedził młody dziennikarz lubelski, Romuald Karaś, bardzo podniecony faktem, że na terenie Lublina znajdują się nie wyzyskane dotąd listy Brzozowskiego, mogące przyczynić się w dużej mierze do oczyszczenia pamięci znakomitego krytyka i filozofa od ciążących na niej zarzutów. Rzecz wygląda tak: pewne dokumenty po St. Brzozowskim były w posiadaniu ojca Jadwigi Beckowej, rejenta Wacława Salkowskiego, który zmarł w Lublinie w 1952 r. Ponieważ dawna ministrowa odrzuciła przypadający jej po ojcu spadek, mienie, zgodnie z dalszą klauzulą testamentu, przeszło na córkę pani Beckowej, Joannę Zarembę-Tymieniecką, zamieszkałą w Anglii. Wykonawcą testamentu Wacława Salkowskiego jest lubelski adwokat Tadeusz Krzysztoń, w jego więc rękach znajdują się obecnie dokumenty po Stanisławie Brzozowskim. Oczywiście nie omieszkaliśmy wejść w kontakt z mec. Krzysztoniem. Wyraził on gotowość udostępnienia dokumentów po uzyskaniu upoważnienia od spadkobierczyni. Wydaje nam się jednak, że prawo i obowiązek zajęcia się sprawą tych papierów należy przede wszystkim do Instytutu Badań Literackich. Są to dwa listy do rodziny, pisane w stanie wielkiego wzburzenia, charakterem dość trudnym. Brzozowski zaprzecza w nich kategorycznie krzywdzącemu go oskarżeniu. Osoba, która miała przypadkowo możność pobieżnego zapoznania się z ich treścią, zapewnia, iż sam ton wynurzeń świadczy wymownie o szczerości piszącego. Różne można snuć domysły o powodach, dla których rodzina nie kwapiła się do ujawnienia dokumentów świadczących na korzyść pisarza. W każdym bądź razie nie ulega chyba wątpliwości, że te dokumenty, jako dobro narodowe, winny, pozostając w kraju, stać się przedmiotem skrupulatnej, obiektywnej analizy.

W NUMERZE 1 „PRZEGLĄDU KULTURALNEGO", W RUBRYCZCE „REFLEKTOREM PO SCENACH, kieruje AWR pod adresem kilku teatrów terenowych dość uszczypliwe uwagi. Można chyba kwestionować celowość zamieszczania w autorytatywnym piśmie ocen wyssanych z „notek, recenzji i plotek". Jeśli chodzi o „ubaw" — od tego są „Szpilki". Prowincja nie-warszawska wymaga poważniejszego stosunku.

m. b.-r.

KSIĘGARSKIE nowalijki

Z literatury przekładowej ujrzymy w okresie gwiazdkowym na półkach księgarskich następujące nowości czytelnikowskie: „PODDANEGO" H. Manna w przekładzie M. Wolczackiej i J. Mareckiej (opr. brosz., c. zł 20, nakł. 10.000) — świetną satyrę na pruski militaryzm i biurokratyzm w epoce rządów ostatniego kajzera; „SIOSTRĘ SULPICJĘ" A. P. Valdesa (opr. brosz., c. zł 23, nakł. 10.000) — hiszpańską powieść obyczajową z końca XIX w. o triumfie miłości młodej dziewczyny, przez rodzinę przemocą zamkniętej w klasztorze (przekład K. Wojciechowskiej); powieść współczesną H. F. Nossacka pt. „NAJPÓŹNIEJ W LISTOPADZIE" (opr. brosz., c. zł 18, nakł. 10.000), ukazującą burzliwe dzieje młodej kobiety ze sfer bogatych przemysłowców, która porzuca rodzinę dla miłości artysty (tłumaczenie M. Wisłowskiej), oraz zbiór nowel amerykańskiego pisarza z końca XIX wieku St. Crane (vide „Szkarłatne godło odwagi") pt. „SZALUPA I INNE OPOWIADANIA" (opr. brosz., c. zł 10, nakł. 10.000) w przekładzie W. Niepokólczyckiego.

Wyd. Literackiemu zawdzięczamy publikację ostatniej książki zmarłego w ub. roku pisarza francuskiego Fr. Carco. Są to jego wspomnienia z lat młodości, spędzonej w artystycznych dzielnicach Paryża i Dzielnicy Łacińskiej, wydane pod tytułem: „SPOTKANIE ZE SOBĄ" (opr. brosz., c. zł 16, nakł. 10.000) w tłumaczeniu J. Guze.

W tymże wydawnictwie ukazały się w przekładzie (z języka prowansalskiego!) A. L. Czernego „PAMIĘTNIKI I OPOWIEŚCI" Fr. Mistraia, jednego z najwybitniejszych poetów Francji z przełomu ostatnich stuleci (opr. brosz., c. zł 32, nakł. 5.000). Wydanie bardzo staranne!

W satyrycznej „Bibliotece Stańczyka" wyd. „Iskry" ujrzymy niezadługo świetnie ilustrowane przez J. Effela opowiadania Ph. J. Hesse (rzekomo jedenastoletniego chłopca) o tematyce biblijnej, wydane pod tytułem „NA ARCE PŁOTKUJĄ ZWIERZĘTA" (opr. brosz., c. zł 10, nakł. 10.000).

Nowinkarz

Rysunki Teresy Targońskiej

Dwutygodnik literacki „Kamena" • Redaguje Kolegium • Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich • Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 1-c • Telefon: 36-45 • Redakcja rękopisów nie odsyła • Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półrocznie zł 24, rocznie zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu" zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 16 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicę: kwartalnie zł 16,80; półrocznie zł 36,40; rocznie 72,80. Zamówienia i wpłaty przyjmuje P. K. W. Z. „Ruch", Warszawa, ul. Wilcza 46, Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lublin, nr konta PKO Lublin 2-6-544. Lubels ka Drukarnia Prasowa — Unicka 4.
Zam. 4793. 28.XII.1959. S-3.